ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.



POWRÓT DO STOLICY

Nr. 34

25 SIERPNIA 1934 ROKU

W numerze:



Olbrzymi pożar Uniwersytetu we Freiburgu, gdzie spłonęły całkowicie górne piętra gmachu

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXIX. Nr. 34 — 25.VIII.1934

STRAŻE POŻARNE

Wywiad z inż. Stanisławem Twardo, Prezesem Związku Straży Pożarnych R. P.

„Nowa ustawa przeciwpożarowa włącza do zadań straży pożarnych również i obronę przed innemi klęskami, oprócz pożarów. Czy nie mógłby nam Pan Prezes powiedzieć, jak się przedstawia akcja straży pożarnych w walce z klęską powodzi?"

— Przepis ustawy, o którym Pan wspomniał, nie przynosi właściwie nic nowego, gdyż straże pożarne z natury rzeczy oddawna działały i działają w tym zakresie. Jako organizacje społeczne, powołane poza swym głównym celem do obrony życia i mienia ludności przed klęskami żywiołowemi, straże uważały zawsze akcję ratowniczą w czasie powodzi za jedno ze swych zadań. Tam, gdzie niebezpieczeństwo powodzi istnieje, straże są zawsze przygotowane do niesienia pomocy. Jeśli chodzi o akcję ogólniejszej natury, to Związek w swoim czasie przeprowadzał odpowiednie kursy dla referentów przeciwpowodziowych i wydał specjalną instrukcję, opracowaną w porozumieniu z władzami.

Konkretnym sprawdzianem pracy straży pożarnych w zakresie akcji przeciwpowodziowej może być tegoroczna katastrofa, która nawiedziła znaczną część naszego kraju. Wszędzie ochotnicze straże pożarne stanęły do apelu, zdając egzamin sprawności i poświęcenia. Prasa codzienna przytaczała fakty świadczące o odwadze strażaków, graniczącej nieraz z bohaterstwem, zaś władze administracyjne z wielkiem uznaniem stwierdzają, iż straże pożarne wyróżniły się z pośród organizacyj, biorących udział w akcji ratowniczej.

Trochę gorzej przedstawia się sprawa ekwipunku technicznego, potrzebnego w akcji ratowniczej. Poza normalnym sprzętem strażackim, jak bosaki, linki i t. d., straże naogół nie posiadają specjalnego sprzętu, jaki jest potrzebny w razie powodzi. Nie mamy na to odpowiednich funduszów. Należałoby temu zaradzić, aby w razie powtórzenia się katastrofy, co wobec stanu regulacji naszych rzek zawsze jest możliwe, nie stanąć znów wobec trudności nie do pokonania.

„Podkreślił Pan Prezes przed chwilą społeczny charakter organizacyj strażackich. Jak nam wiadomo, straże pożarne prowadzą dość żywą akcję uświadamiającą wśród społeczeństwa, zarówno w zakresie zagadnień bezpieczeństwa, jak i w zakresie ogólnych zagadnień pracy społecznej. Czy nie zechciałby Pan Prezes poinformować nas, jaki jest program działalności strażactwa w tym kierunku?"

— Istnieje pogląd, że organizacja z natury rzeczy społeczna, jaką są straże pożarne ochotnicze, musi prowadzić wszechstronną pracę społeczną. Mojem zdaniem, sam fakt dobrego wykonywania obowiązków, zakreślonych przez statuty, doprowadza do głębokiego uspołecznienia. Przez dobre wykonanie własnych obowiązków stwa-

rza się bramę do wyjścia na inne odcinki społeczne. Odcinki te bywają różne zależnie od terenu. Na wsi — domy ludowe, orkiestry, chóry, teatry, zaś w zakresie ściślej związanym z zadaniami straży — propaganda budownictwa ogniotrwałego, zaopatrzenie w wodę do gaszenia pożarów, z czem łączą się sprawy racjonalnej hodowli ryb, a nawet higjeny.

W miastach natomiast oddziałujemy na inne odcinki — prace samarytańskie i O.P.L. Gaz — od strony nie technicznej a organizacyjnej. I w mieście i na wsi duży nacisk kładziemy na wychowanie fizyczne, zarówno ze względu na podniesienie sprawności strażaków, jak i ze względu na propagandę tego ważnego zagadnienia w społeczeństwie.

Jeśli chodzi o nastawienie ogólne, uważam za pierwszy warunek osiągnięcia dobrych rezultatów nierozpraszanie się zbytnie w różnych kierunkach, gdyż zbyt wielka ilość zainteresowań prowadzi do rozstrzelenia energji, co jest szkodliwe.

To, co Panu powiedziałem o roli strażactwa w pracy społecznej, pokrywa się w zupełności z poglądem wyrażonym w marcu roku ubiegłego przez p. prezesa BBWR płk. Sławka. Mówiąc o organizacjach społecznych, podzielił on je na dwie kategorje: jedną, do której zaliczył organizacje, których wystąpienia mają zawsze charakter żądań, aby „ktoś inny zrobił to lub owo",—i drugą, do której należą organizacje przysposobienia wojskowego, *straże pożarne* i t. p., które, *„dają wzory zrzeszania się ludzi dla czynnego, aktywnego stosunku człowieka do życia"* i dzięki temu *„prowadzą do wydobycia ze społeczeństwa energji twórczej"*.

Rzecz jasna, że organizacja, posiadająca około 5.000 remiz strażackich, mających najczęściej charakter domów ludowych i rozsianych po całym terenie państwa, siłą faktu musi wybitnie oddziaływać na charakter życia społecznego wsi i miasteczka polskiego. Również udział we wszelkich uroczystościach o charakterze publicznym naszych orkiestr, których mamy około tysiąca, i zbliżonej do tej liczby ilości chórów — zapewnia realny kontakt strażactwa z przeróżnemi odcinkami życia społecznego i wywiera głęboki wpływ na kulturę ludową.

S. PĄGOWSKI

USTAWOWE UNORMOWANIE AKCJI PRZECIWPOŻAROWEJ

Pożary obracają rokrocznie na ziemiach Polski w gruzy i popioły 60 kilka tysięcy budowli, wyrządzając w samych tylko nieruchomościach strat na pięćdziesiąt miljonów złotych i zubożając majątek narodowy w strawionych przez ogień ruchomościach, warsztatach pracy i plonach rolnych na taką samą conajmniej sumę.

To też ustawowe unormowanie akcji przeciwpożarowej było nieodzowną potrzebą szerokich warstw ludności, zwłaszcza wiejskiej, najdotkliwiej trapionej przez pożary.

Docenił to Rząd, przygotowując ustawę o ochronie przed pożarami i innemi klęskami żywiołowemi.

Ustawa ta, zainicjowana w sferach rządowych przez ś.p. Ministra Br. Pierackiego, została uchwalona przez Sejm w dniu 13-m marca r. bież. i zacznie obowiązywać z dniem 19-ym listopada.

Najobszerniejszy rozdział ustawy, obejmujący 20 artykułów na ogólną liczbę 48-miu, poświęcony jest strażom pożarnym.

Ustawa przewiduje cztery rodzaje straży pożarnych, a mianowicie: ochotnicze, przymusowe, zawodowe i prywatne. Najbardziej powszechną formą organizacyjną straży, jako najekonomiczniejszą i najkorzystniejszą ze względów społecznych, będą nadal ochotnicze straże pożarne. Dopiero, gdyby nie powstała straż ochotnicza tam, gdzie tego wymagać będzie bezpieczeństwo osiedla, wkraczają władze administracji i zarządzają utworzenie przymusowej straży pożarnej.

Jedynie w gminach miejskich, liczących ponad 40 tysięcy mieszkańców, istnieje w zasadzie obowiązek utrzymywania straży pożarnej zawodowej.

Do utworzenia i utrzymywania prywatnych straży pożarnych obowiązane będą w myśl ustawy takie przedsiębiorstwa i zakłady prywatne, które zatrudniają znaczniejszą liczbę pracowników i narażone są ze względu na swój charakter na niebezpieczeństwo pożaru.

W celu wreszcie zapewnienia pomocy tam, gdzie z jakichkolwiek względów nie byłoby straży lub byłyby one niewystarczające, gminy mogą łączyć się i tworzyć okręgowe pogotowie pożarne.

Ustawa nakłada na gminy następujące obowiązki:

Gminy są obowiązane w ramach budżetu pokrywać koszty: 1) utrzymania zawodowych i przymusowych straży; 2) subwencjonowania straży ochotniczych o charakterze miejscowym; 3) dostarczania pomieszczeń, potrzebnych dla pogotowia i stałych dyżurów straży; 4) założenia i utrzymywania urządzeń sygnalizacyjnych; 5) dostarczania dla akcji ratunkowej potrzebnej ilości wody; 6) do ponoszenia przypadającej części utrzymania okręgowych pogotowi pożarnych i 7) popierania inicjatywy społecznej w tworzeniu i utrzymywaniu straży ochotniczych.

Na ogólne cele akcji przeciwpożarowej oraz na subwencjonowanie gmin, które same nie zdołają sprostać potrzebom akcji przeciwpożarowej, ustawa przewiduje stworzenie centralnego funduszu przeciwpożarowego. Na fundusz ten złożą się świadczenia publicznych zakładów ubezpieczeń w wysokości do 70% zebranych składek z tytułu ubezpieczeń od ognia oraz prywatnych towarzystw ubezpieczeń w wysokości do 3% tych składek.

Na poszczególnych obywateli ustawa o ochronie przed pożarami nakłada, między innemi, następujące zasadnicze obowiązki:

Każda osoba przebywająca w gminie jest obowiązana do udzielenia pomocy i do współdziałania przy akcji ratowniczej i zapobiegawczej w wypadkach pożarów lub innych klęsk.

Obowiązki osobistej pomocy w akcji przeciwpożarowej obarczają ludność w wieku od lat 14-tu do 60-ciu. Za uchylanie się od tych obowiązków i inne przekroczenia postanowień ustawy przewidziane są kary do tysiąca złotych lub aresztu do miesiąca.

Stwierdzić należy, że wchodząca niebawem w życie ustawa o ochronie przed pożarami przyniesie wiele korzyści całemu społeczeństwu przez unormowanie tej tak ważnej dla gospodarstwa narodowego kwestji, jaką jest racjonalna walka z klęskami pożarowemi.

ŻYCIE STRAŻAKA

Straż jedzie. Przenikliwa syrena dźwięczy ostrzegawczo. Usuwają się z drogi auta, wozy, dorożki. Przechodnie stają, zapatrzeni. Warszawa kocha strażaków — tak zresztą, jak kocha swoją straż każde miasto. Ich tężyzna, rozmach, sprężystość, a często i bohaterstwo —ich ofiarna walka z żywiołem— ich błyszczące kaski, zdecydowane ruchy, błyskawiczna szybkość, lekceważenie niebezpieczeństwa — wszystkie te czynniki wywołują w nas odruchową, spontaniczną sympatję. A kiedy sobie przypomnimy, że w pożarze strażak bywa ranny — że zdarzają się i wypadki śmiertelne, wówczas wdzięczność nasza pogłębia się i nabiera cech poważniejszych. Zastanawiamy się, jak strażak pracuje, jak się bawi, jak żyje... Nasze ilustracje starają się dać częściową odpowiedź na te pytania.



CHWILE GROZY

Rozpętany żywioł ognia, z którym walczy człowiek z narażeniem życia: pożar w fabryce opon samochodowych w Liverpool



CHWILE PRACY

Ukochane dzieci Stolicy — Warszawska Straż Ogniowa w akcji



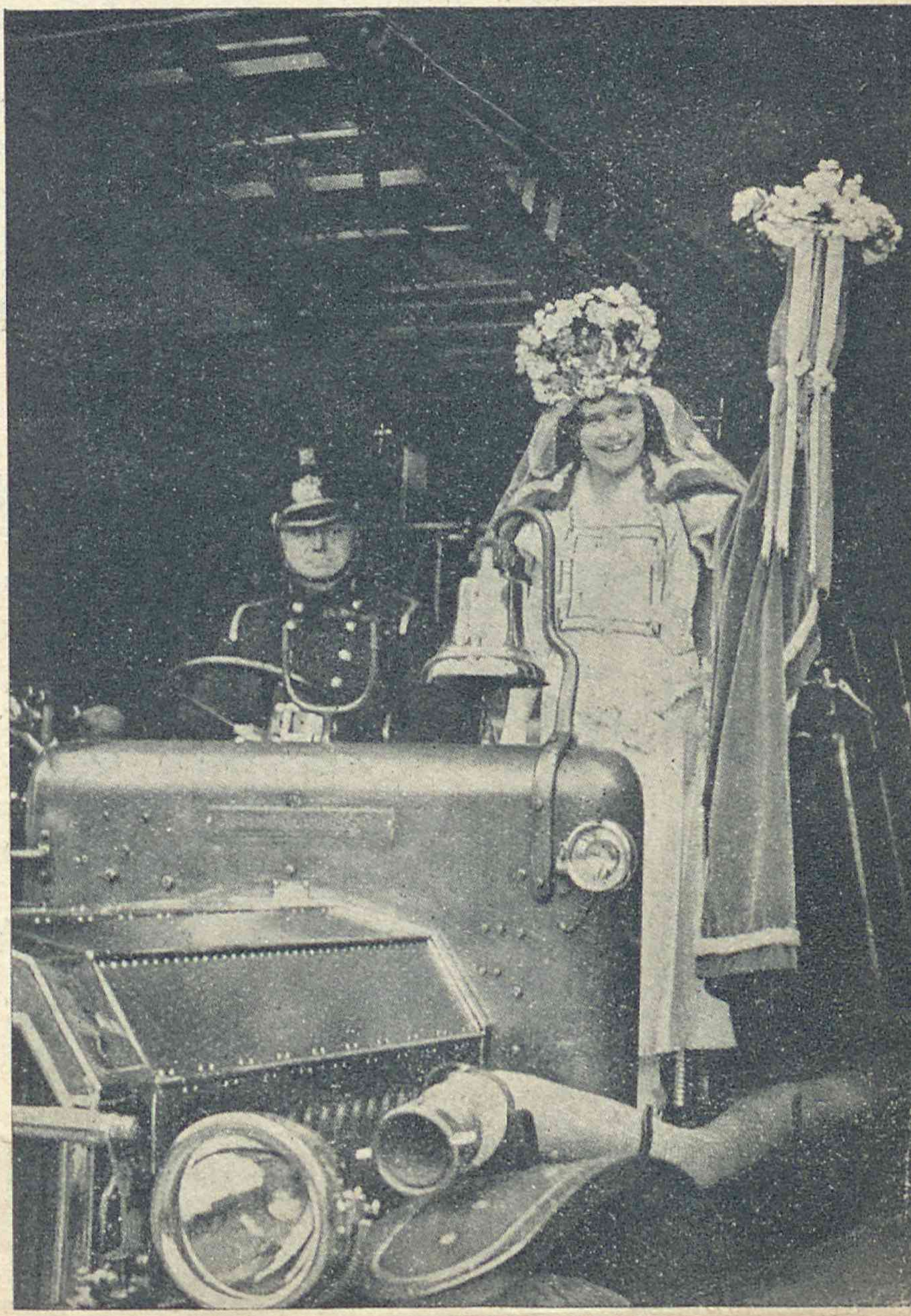
CHWILE SZCZĘŚCIA

Tradycja strażaków angielskich: po ceremonji ślubu nowożeniec nakłada pannie młodej kask swojej straży na głowę



CHWILE ZABAWY

W Londynie wśród ogólnej wesołości wybierana jest „Królowa Straży Pożarnych", którą w tym roku została 15-letnia córka szefa jednej z brygad, Miss Winifred Wells



INŻ. C. ŁUKASZEWICZ

KLĘSKA POŻARÓW W POLSCE

Przyczyny pożarów wszędzie są mniej więcej jedne i te same,to też pożary zdarzają się we wszystkich krajach, zarówno ubogich i zaniedbanych, jak i bogatych i najbardziej cywilizowanych. Są one jednak tem liczniejsze, a zrządzone przez nie zniszczenia tem dotkliwsze, im niższy jest poziom kultury i uświadomienia szerokich mas ludności, im słabsza ich zaradność i umiejętność organizowania swego życia. Klęska ogniowa, jak choroba epidemiczna, gnieździ się i zbiera żer największy tam, gdzie ludzie mieszkają w łatwozapalnych domach, stojących bezładnie jeden przy drugim bez zadrzewienia i sadów, gdzie ulice są wąskie i niezabrukowane, podwórka ciasne, studnie nieliczne i płytkie, wogóle tam, gdzie wszystko urąga najelementarniejszym wymaganiom ładu i porządku, higjeny i bezpieczeństwa ogniowego. Możnaby powiedzieć, że stopień częstotliwości i napastliwości pożarów jest jednym z mierników kultury i uspołecznienia. „Powiedz mi, jaka jest palność w twoim kraju,a powiem ci, jakim jest twój naród".

W Polsce palność, jak dla kraju uchodzącego za kulturalny, jest niezwykle wielka i przybiera czasami rozmiary epidemji, zwłaszcza w miesiącach posuchy i upałów. Nietylko duża jest liczba pożarów, ale szkody przez nie corocznie zrządzone niewspółmiernie są wielkie.

50 MILJONÓW STRAT W JEDNYM ROKU

Według ostatniego sprawozdania statystycznego Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych za r. 1931, na obszarze działalności Zakładu, rozciągającego przymus ubezpieczenia od ognia na budynki we wszystkich województwach z wyjątkiem województw zachodnich, *w r. 1931 wydarzyło się ogółem 20.276 pożarów, których pastwą padła przeszło trzykrotnie większa liczba budynków, mianowicie 65.776. Jeszcze jaskrawiej ta rzecz się przedstawia, gdy zważymy, że z tych 20.276 pożarów 18.507 zdarzyło się we wsiach i miasteczkach, gdzie też spłonęło 62.330 budynków, czyli oprócz budynków, w których pożar powstał bezpośrednio, zniszczeniu uległo jeszcze 43.500 budynków od ognia przerzutnego. Dodajmy do tego ponurego obrazu, że z ogólnej sumy szkód pogorzelowych złotych 50.070.193 na same wsi i osady przypada zł. 47.195.290, czyli okrągło 95%.*

To są szkody w budynkach, bądź co bądź ubezpieczonych, ale conajmniej drugie tyle pożar pochłonął w ruchomościach domowych, towarach, inwentarzu i zbiorach, które nie były nigdzie ubezpieczone i na których ponowne nabycie pogorzelcy musieli znaleźć pieniądze, być może na uciążliwych warunkach.

Tak więc część majątku narodowego uchodzi każdego roku z dymem bezpowrotnie, pogorzelcy zaś, pozbawieni własnych warsztatów pracy, przez wiele miesięcy nie zarobkują, nie płacą podatków i są poważnym ciężarem dla gminy.

PRZYCZYNY POŻARÓW: NIEOSTROŻNOŚĆ, PODPALENIA, WADLIWE KOMINY

Przyczyny pożarów są wielorakie. Do najważniejszych i najbardziej charakterystycznych zaliczamy: zbrodnicze podpalenie, nieostrożne obchodzenie się z ogniem, swawolę rozpuszczonych dzieci i wadliwe urządzenie komina. *Z ogólnej liczby szkód ogniowych w budynkach na podpalenie przypada zł. 18.546.268, na nieostrożność — zł. 10.414.590, na wadliwe kominy — zł. 8.193.185 i na zabawę dzieci zł. 2.296.650. Na pozostałe przyczyny, w większości niewykryte i niewyśledzone, przypada zł. 10.119.353 szkód ogniowych, śród których poważną pozycję stanowią prawdopodobnie podpalenia i wadliwe kominy.*

Cyfry wyżej wymienione dosadnie malują obraz kultury i uspołecznienia naszych wsi i osad; są one smutnym dowodem ciemnoty i pozostałością długotrwałych, sromotnych rządów zaborczych. Całkowite usunięcie tych niedomagań z życia naszych wsi i osad miasteczkowych będzie jeszcze długo niewykonalne, ale częściowe ukrócenie zła jest już dzisiaj zupełnie możliwe. Szerzenie oświaty i kultury, krzewienie zdrowych zasad współżycia sąsiedzkiego, pouczanie i wyjaśnianie ludziom przepisów budowlanych i przeciwogniowych przy każdej okazji na zebraniach i w sąsiedzkiej rozmowie — w znacznej mierze przyczynić się może do złagodzenia klęski pożarowej. Gdy każdy mieszkaniec dobrze sobie zapamięta, że wszelkie przestępcze czynności oraz najmniejsze uchybienie, niedopatrzenie i lekceważenie bezpieczeństwa ogniowego mogą straszliwie zemścić się przedewszystkiem na nim samym oraz pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki dla całego osiedla i gminy, wówczas pożary będą u nas zjawiskiem równie rzadkiem, jak na Zachodzie.

Niezależnie od przyczyn bezpośrednio wzniecających pożar, swoistość klęski pożarowej naszych wsi i miasteczek, jak już wspomnieliśmy, polega na tem, że ogień wyrzucony z płonącego budynku w postaci iskier i żarzących się pęków słomy, porwanych przez wicher, przenosi się na sąsiednie, bliższe i dalsze, nieraz bardzo nawet odległe zabudowania. Spadające na dachy słomiane iskry i żagwie wnet je zapalają i tworzą w różnych miejscach osiedla odrazu wiele nowych ognisk. W takim stanie rzeczy walka z pożarami nawet dla najlepiej wyposażonych straży staje się zadaniem niezwykle trudnem, niemal beznadziejnem. Całe osiedle, objęte płomieniem, zamienia się wkrót-

ce w cmentarzysko upiornych kominów.

OGÓLNA SZKODA POGORZELOWA W BUDYNKACH, ZRZĄDZONA PRZEZ POŻARY OD OGNIA PRZERZUTNEGO, W R. 1931 WYNIOSŁA POWAŻNĄ SUMĘ ZŁ. 29.219.356.— Z CZEGO NA SAMĄ WIEŚ PRZYPADA ZŁ. 28.078.692, CZYLI 96%. SZKODA TA DOTYCZY TYLKO TYCH BUDYNKÓW, NA KTÓRE PRZESZCZEPIONY ZOSTAŁ OGIEŃ OD PIERWSZEGO ZAPALONEGO BUDYNKU. Jest ona następstwem wiekowego zacofania budownictwa, nadewszystko zaś odwiecznego nałogu pokrywania budowli najpalniejszym materjałem, jakim jest słoma. W uporządkowanem i rozkolonizowanem osiedlu rodzaj pokrycia nie odgrywa decydującej roli, ale w zabudowaniach stłoczonych bezładnie, na które zawsze ze zgrozą patrzymy, pokrywanie dachów słomą lub drzewem uważać należy za wielkie karygodne zło, z którem trzeba walczyć do upadłego. Nie możemy, oczywiście, żądać zmiany odrazu wszystkich dachów palnych na niepalne, musimy jednak dążyć do tego stopniowym, nieustannym wysiłkiem, wydzierając corocznie z pod groźby pożaru całe grupy zagród i nieruchomości i stwarzając w ten sposób w osiedlach zapory przeciwogniowe. Trudności są tu duże; do ich pokonania potrzebne są tytaniczne wysiłki i olbrzymie, miljardowe fundusze, na które jedno pokolenie, zwłaszcza w dobie ciężkiego kryzysu gospodarczego, zdobyć się prawdopodobnie nie zdoła. Pomimo to nie możemy przecież opuszczać rąk i przyglądać się biernie jednej z najszkaradniejszych ułomności społecznych, ubliżającej naszej kulturze i godności narodowej.

AKCJA POWSZECHNEGO ZAKŁADU UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

Od wielu lat planową, zaciętą walkę z klęską pożarową prowadzi Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych, dziedzic tradycji wielce dla kultury narodowej zasłużonej Dyrekcji Ubezpieczeń; czyni to nie dla zysku, lecz w imię dobra publicznego.

Współpracując ściśle ze związkami samorządowemi, Zakład od samego początku bierze żywy udział w organizacji sieci straży pożarnych, dba o ich usprawnienie i wyposażenie i o rozwój ich życia korporacyjnego. W granicach swej możliwości finansowej udziela zapomóg na szkolenie straży i doskonalenie obrony przeciwpożarowej, na ogniotrwałe pokrycie remiz strażackich, na nabycie sikawek, beczkowozów, pogotowi, węży, drabin i t. p. Własnym nakładem urządza lub popiera kursy strażackie i budowlane, zasila i prowadzi Kasę Strażacką, udziela nagród za wyróżniające się poświęcenie przy ratowaniu mienia i życia, wspiera propagandę pożarnictwa, płaci odszkodowania za padłe w czasie akcji strażackiej konie i t. p. *Zwraca szczególną uwagę na zaopatrzenie osiedli w wodę do celów pożarniczych i w miarę możności udziela pomocy samorządom na te inwestycje. Łączna suma świadczeń i zasiłków, udzielonych przez P. Z. U. W. na te cele, wynosi zł. 14.321.163.*

Oprócz wymienionych subwencji Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych udzielił związkom samorządowym na motoryzację taboru strażackiego, na budowę studzien wierconych, zbiorników i wodociągów, a także na budowę remiz i strażnic — pożyczek ulgowych na ogólną sume zł. 3.620.995. Warto zaznaczyć, że w obecnej chwili niewiele już pozostało powiatów, które na swoim terenie nie posiadają sikawki silnikowej, pogotowia samochodowego lub autocysterny, co pozwala strażom wyjeżdżać na ratunek poza miejsce swego stałego postoju do dalszych okolic i szybko rozwijać akcję gaśniczą i ratunkową.

WYSOKI POZIOM STRAŻACTWA POLSKIEGO

Dodajmy także, że w szeregach strażactwa, jego organizacji i przedsięwzięciach biorą osobisty udział organy wojewódzkie i powiatowe Powszechnego Zakładu. Jeżeli więc strażactwo polskie osiągnęło obecnie wysoki poziom rozwoju, jeżeli swoją postawą, wyposażeniem i sprawnością ćwiczeń budzi ono słuszny podziw zagranicą, jeżeli Państwo Polskie w dowód uznania podniosło Związek Straży Pożarnych do godności „stowarzyszenia wyższej użyteczności", to niewątpliwie w tych sukcesach jest też znaczna część zasługi Powszechnego Zakładu.

Tłumienie pożaru, gaszenie płonącego budynku, oczywiście, nie wyczerpuje całej akcji zapobiegawczej P. Z. U. W. Najważniejszą, najistotniejszą jej częścią pozostanie zawsze budownictwo racjonalne i ogniotrwałe. Zabezpieczyć mienie i życie ubezpieczonych raz na zawsze przed pożarami od przerzutnego ognia, zaoszczędzić narodowi corocznie kilkadziesiąt tysięcy budynków płonących nie z winy ich właścicieli, a przez to ograniczyć kosztowną akcję strażacką do gaszenia pożaru możliwie zawsze tylko w jednym budynku — oto właściwy sens działalności zapobiegawczej.

W tym właśnie kierunku Zakład prowadzi oddawna propagandę nietylko zapomocą specjalnych wydawnictw, broszur, odezw, artykułów prasowych, tablic barwnie i popularnie ilustrowanych, ale przedewszystkiem zapomocą odczytów, pogadanek i wykładów w szkołach, seminarjach, na zebraniach gminnych i wógóle przy każdej nadarzającej się okazji, zwracając szczególną uwagę na uświadamianie i nastawienie przeciwpożarowe młodzieży wiejskiej i miasteczkowej.

ULGOWE POŻYCZKI POWSZECHNEGO ZAKŁADU UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

Odszkodowania pogrzebowego, wypłacanego ubezpieczonym po pożarze, najczęściej nie wystarcza na budowę nowego i zwykle powiększonego zabudowania. To też Zakład przychodzi z pomocą w postaci pożyczek ulgowych z zastrzeżeniem, że dachy będą pokryte materjałem ogniotrwałym. *Z funduszu pożyczek ulgowych korzystało dotychczas 12.065 pogorzelców na łączną sumę zł. 11.998.705.* Zauważmy, że pokrycie ogniotrwałe przy dzisiejszych obniżonych cenach kosztuje niewiele więcej od pokrycia słomą lub gontem, a w pewnych razach nawet mniej.

Brak na prowincji tanich materjałów ogniotrwałvch, zwłaszcza dekarskich, pochodzących z pierwszej ręki, brak także przystępnego kredytu na ich nabycie nasunął Zakła-

dowi myśl tworzenia lokalnych wytwórni i składnic, w których ubezpieczeni rolnicy mogliby nabywać potrzebny materjał na kredyt. Samo się przez się rozumie, że wydawany przez te przedsiębiorstwa materjał nie może być przedmiotem spekulacji i wyzysku. Mając to na względzie, Zakład udzielał pożyczek ulgowych związkom samorządowym, które podejmowały się prowadzić cegielnie, betoniarnie lub składy materjałów budowlanych ogniotrwałych i wydawać te materjały ubezpieczonym po cenach i na warunkach ulgowych. Z takiego kredytu korzystały 282 związki samorządowe ogółem na sumę zł. 6.482.500.—.

Lecz Zakład nie poprzestał i na tem. Pragnąc umożliwić ludności wyrób materjału budowlanego ogniotrwałego własnemi jej rękami, zakupił paręset prostych maszyn do wyrobu dachówek, pustaków i kręgów studziennych cementowo-piaskowych i wypożycza je bezpłatnie związkom samorządowym do użytkowania we własnym zarządzie, lub przez pojedyńczych gospodarzy. Maszyny cieszyły się dużem powodzeniem i są dotąd stale w użytkowaniu. Oprócz bezpośredniej korzyści maszyny te w znacznym stopniu przyczyniały się także do propagandy budownictwa ogniotrwałego.

W miarę coraz większego zainteresowania ludności i samorządów akcją prewencyjną, Zakład rozszerza ją i otwiera nowe działy swej pomocy finansowej. *W ten sposób powstał fundusz zapomóg na pokrycie kosztu planów regulacyjnych i komasacyjnych, opracowanych przez samorządy do odbudowy osiedli po większych zniszczeniach przez żywioły elementarne, jak ogień, powódź i huragan. Na urządzanie piorunochronów we wsiach, położonych w pasach burzowych i narażonych na częste pożary od uderzeń pioruna, Zakład również udziela związkom samorządowym zapomóg z warunkiem, że urządzenia te będą fachowo zaprojektowane i zbudowane.*

Brak miejsca nie pozwala tutaj zapoznać czytelników bliżej z wszystkiemi zamierzeniami prowadzonej przez Powszechny Zakład walki prewencyjnej z klęską pożarową. Na podkreślenie jeszcze zasługuje, że jednem z ważniejszych zamierzeń jego jest obecnie tworzenie we wsiach zapór przeciwogniowych przez pokrycie większych zwartych grup budowli materjałem ogniotrwałym, a także zaopatrzenie wsi w zbiorniki wody do celów pożarowych, prostej i taniej konstrukcji. Jeżeli zbiornik taki ma wodę źródlaną lub bieżącą, może być zarybiony z wielką korzyścią dla mieszkańców.

Oto w zarysie obraz klęski pożarowej w Polsce oraz środki i sposoby jej zwalczania, podjęte przez Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych w ścisłej łączności ze związkami samorządowemi i strażackiemi. Nowa ustawa przeciwpożarowa, ujmująca walkę z tą klęską w jednolite krzepkie ramy oraz powołująca do niej wszystkie organizacje społeczne i całą zdrową ludność, tworzy z akcji zapobiegawczej, zapoczątkowanej przez Zakład przed kilkunasty laty w skromnych rozmiarach — szeroki, silny i wartki prąd społeczny, którego skuteczność w walce z klęską pożarową nie może ulegać najmniejszej wątpliwości. Taką też, zresztą, była zawsze intencja Powszechnego Zakładu w imię ożywiającego go hasła dobra publicznego.

POŻAR ŚWIĄTYNI



NIEDOSKONAŁOŚĆ DAWNEGO SPRZĘTU TECHNICZNEGO



Praca ręczną sikawką Warszawskiej Straży Pożarnej — obecnie już należy do wspomnień dalekiej przeszłości.

Zdjęcie obok przedstawia pożar kościoła Ś-go Stanisława na Woli, 15 czerwca 1925 r. w chwili akcji lokalizowania ognia

ZBIOROWE POCZYNANIA STRAŻACTWA POLSKIEGO

Potężne już dziś ilościowo i jakościowo strażactwo polskie ma piękne karty w historji swych zbiorowych poczynań.

Powstawanie straży na ziemiach Polski datuje się od lat 70-ciu, a pierwszy Związek Straży Pożarnych ukonstytuował się przed 60-ciu laty w Małopolsce, gdzie rozwijał przed wojną światową b. żywą i owocną działalność. W roku 1916-ym odbył się w Stolicy ogólno - krajowy zjazd delegatów straży, na którym powołano do życia Związek Florjański, a w roku 1921-ym na pierwszym ogólnopaństwowym zjeździe delegatów straży utworzono Główny Związek Straży Pożarnych R. P., jednoczący wszystkie byłe Związki dzielnicowe, liczące wówczas ogółem 2.500 straży.

Jedną z podstawowych prac Związku, szczególnie w pierwszych latach jego działalności, było organizowanie nowych straży, gdyż ilość ich była niewystarczająca wobec ogromu klęsk pożarowych. Liczba ich wynosi obecnie 11.534.

Prace Związku Straży Pożarnych R. P., któremu Rada Ministrów nadała w listopadzie r. ub. charakter stowarzyszenia wyższej użyteczności, przejawiają się w następujących zasadniczych kierunkach:

W celu pogłębiania organizacji wewnętrznej straży i terytorjalnych ogniw korporacyjnych (okręgów wojewódzkich i oddziałów powiatowych) Związek opracowuje statuty i regulaminy, ustala zasady organizacji i pracy w strażach, informuje władze państwowe, samorządowe i zakłady ubezpieczeń o potrzebach straży, tworzy plany wyekwipowania straży i plany zaopatrzenia osiedli w wodę do celów gaśniczych, tworzy w swych ramach komórki do zadań i prac specjalnych, jak np. sekcja straży zawodowych, komisje fachowe, sądy dyscyplinarne i t. p.—słowem, reguluje organizację strażactwa.

Dla zaprawiania szeregów strażackich w sztuce walki z pożarami szeroko podejmowana jest akcja wyszkoleniowa przez opracowywanie instrukcyj o organizacji wyszkolenia i przygotowywanie programów wyszkoleniowych, ustalanie metod taktyki ratunkowej i sposobów władania sprzętem pożarniczym.

Organizowane są liczne kursy i przeszkolenia dla stałych instruktorów pożarniczych i komendantów straży pożarnych zawodowych, dla oficerów i podoficerów straży oraz dla członków zarządów straży.

Przeprowadzane są stale zespołowe i jednostkowe zawody konkursowe rejonowe, powiatowe, wojewódzkie i ogólno-państwowe.

W celu podnoszenia skuteczności walki z pożarami specjalną troską otacza Związek wyekwipowanie straży w sprzęt ratunkowy. Prowadzona jest normalizacja wszelkiego sprzętu ratunkowego i przedmiotów osobistego uzbrojenia strażaków. Tak np. normalizacja łączników do węży tłocznych pozwala kilku strażom skoordynować należycie akcję ratunkową, gdy do niedawna każda straż miała inne łączniki i o połączeniu linji wężowych nie mogło być mowy.

Poza poczynaniami w zakresie ściśle pożarniczym rozwinęły się nadto szeroko w ramach Związku Straży Pożarnych prace specjalne, wiążące się ściśle z zadaniami straży i ich rolą w społeczeństwie. Do tych prac specjalnych należą przedewszystkiem: obrona przeciwgazowa, wychowanie fizyczne oraz służba samarytańska oddziałów żeńskich przy strażach.

Istniejące dwa organy związkowe — „Przegląd Pożarniczy" i „Gazeta Strażacka" rozwijają żywą akcję publicystyczną.

Te szerokie zbiorowe poczynania strażactwa dokonały się przedewszystkiem dzięki temu, że w szeregach strażactwa znajdują się wybitni działacze społeczni, ale praca ta wymagała i wymaga również stałych sił fachowych. Są niemi inspektorzy i instruktorzy pożarniczy, tworzący tak zw. Korpus Techniczny. Kiedy w okresie powstawania Głównego Związku Straży Pożarnych R. P. było zaledwie kilka stałych sił fachowych, dziś Korpus Techniczny Związku liczy 240-u członków.

Działalność strażactwa, prowadzona od lat wielu zgodnym wysiłkiem społecznym, przyczyniła się do rozwoju racjonalnej akcji przeciwpożarowej i akcję tę wydatnie już usprawniła.

Szymon Jaroszewski
Inspektor Naczelny
Związku Straży Pożarnych R.P.

DZIEJE WARSZAWSKIEJ STRAŻY OGNIOWEJ

Pierwszym krokiem do stworzenia stołecznej Straży Ogniowej było zawiązanie w 1800 r. Towarzystwa Ogniowego, a następnie utworzenie w 1806 r. pod opieką władz oddziału pożarnego przy policji, rozporządzającego 15-ma sikawkami, oraz odpowiednią ilością beczek, ludzi i koni do obsługi. Po dziesięciu latach egzystencji, oddział ten został przekształcony na „Magazyn Karowy", którego obowiązkiem było poza gaszeniem pożarów utrzymywanie miasta w porządku oraz polewanie letnią porą placów i ulic. W owych czasach każdy z właścicieli domów obowiązany był mieć na wypadek pożaru drabinę, bosak i skórzane wiadro do wody. Ten stan prymitywny trwał do 1829, kiedy to obywatel Jan Rudnicki, właściciel domu Nr. 719 przy ul. Leszno, wystąpił z projektem utworzenia Straży Ogniowej na wzór istniejącej w Petersburgu. Opracowano szczegółową ustawę i po jej zatwierdzeniu poruczono w lutym 1835 r. dymisjonowanemu podpułkownikowi Janowi Roboszowi zorganizowanie Straży Ogniowej.

Dnia 1 stycznia 1836 r. organizacja ta rozpoczęła swoją działalność. Ówczesna straż składała się z trzech oddziałów: pożarowego, kominiarskiego i roboczego. Prócz tego w 1841 r. zorganizowano jeszcze czwarty oddział, przeznaczony do obsługi latarni ulicznych. Oddział ten w 1883 r. został zwinięty.

Co się tyczy warunków przyjmowania na służbę pożarniczą szeregowców, to ci pierwotnie rekrutowali się z ochotników na ośmioletni okres służby z uwolnieniem zupełnem od wojska. W 1873 r ulgi wojskowe skasowano i odtąd kadry Straży Ogniowej składały się z ochotników, najmowanych przez magistrat na termin od roku do lat trzech.

Ówczesna Straż Ogniowa dzieliła się na 4 oddziały: I przy ul. Nalewki Nr. 3, gdzie posiadał drewnianą czatownię, rozebraną w 1874 r.; II Ratuszowy, posiadający po odbudowaniu spalonego Ratusza murowaną, najwyższą w mieście czatownię; III osiadł przy ul. Nowy Świat Nr. 6; IV praski — obecnie V, przy Marcinkowskiego Nr. 2. W 1851 r. utworzono jeszcze jeden oddział w koszarach Mirowskich przy ul. Chłodnej Nr. 3, nadając mu porządkową liczbę IV.

W początku istnienia swego personel



Warszawska Straż Ogniowa w pełni akcji podczas pożaru
Pożar w nocy koszar wojskowych w Górze Kalwarji.

składał się z 226 osób w czem 212 szeregowców, a przed opuszczeniem przez rosjan Warszawy wzrósł do 451 członków, w czem 313 strażaków i 138 kominiarzy. Materjał techniczno - ratunkowy po zorganizowaniu Straży wynosił 5 sikawek czterokołowych większych i 5 mniejszych, 10 sikawek przenośnych, 4 drabiny o 3-ch i 2-ch przęsłach, 32 beczki i t. d.

W latach 1864 — 65 nabyto trzy sikawki parowe, które w 1884 r. zostały zastąpione nowemi, sprowadzonemi z Londynu.

Na utrzymanie Straży magistrat w ostatnich latach rządów rosyjskich asygnował sumę około 175.000 rb., która w czasie wojny wzrosła do blisko ćwierć miljona rubli.

Wycofanie się władz rosyjskich z Warszawy było połączone z zupełną dewastacją Straży. Zabrano cały inwentarz martwy i żywy, a większość strażaków wcielono do szeregów. Na skutek usilnych starań komitetu Obywatelskiego pozostawiono zaledwie 80 szeregowców

Wobec niebezpieczeństwa braku obrony mieszkańców w razie pożaru, Komitet Obywatelski przejął 26 lipca 1915 r. zupełnie zdezorganizowaną Straż, a wyłoniona z Komitetu Sekcja Straży Ogniowej w osobach pp. St. Bruna, K. Życkiego i St. Popowskiego przy współudziale inż. St. Szymanowskiego (czasowego komendanta), zajęła się energicznie wyszukaniem nowych sił kierowniczych i werbunkiem strażaków.

Już 1 sierpnia powierzono kierownictwo Straży inż. Józefowi Tuliszkowskiemu, jako komendantowi, na kapitanów oddziałów zaangażowano prócz p. Tadeusza Rychtera, który prowadził bezinteresownie oddział II, do Oddziału I — p. Władysława Malcza, do III — p. Adolfa Kubaszewskiego, IV Edwarda Nebela i V — p. Jana Janowskiego. Zaznaczyć należy, że pomimo zdewastowania, Straż Warszawska ani na chwilę nie przerwała czynnej i skutecznej działalności.

Ogółem w ciągu pierwszych 5-ciu miesięcy swego istnienia Straż była wzywana do 132 pożarów. Szczególnie groźny był pożar fabryki Ortweina i Karasińskiego dnia 4 sierpnia, wynikły wskutek wysadzenia przez uchodzących rosjan kotłowni, oraz dnia 26 sierpnia pożar składów towarowych kolei Warszawsko - Wiedeńskiej, gdzie zgromadzona przez okupantów niemieckich amunicja i dynamit groziły zagładą całej dzielnicy miasta.

Od 1918 r. do 1930 Warszawska Straż Ogniowa była czynną przy gaszeniu 4897 pożarów.

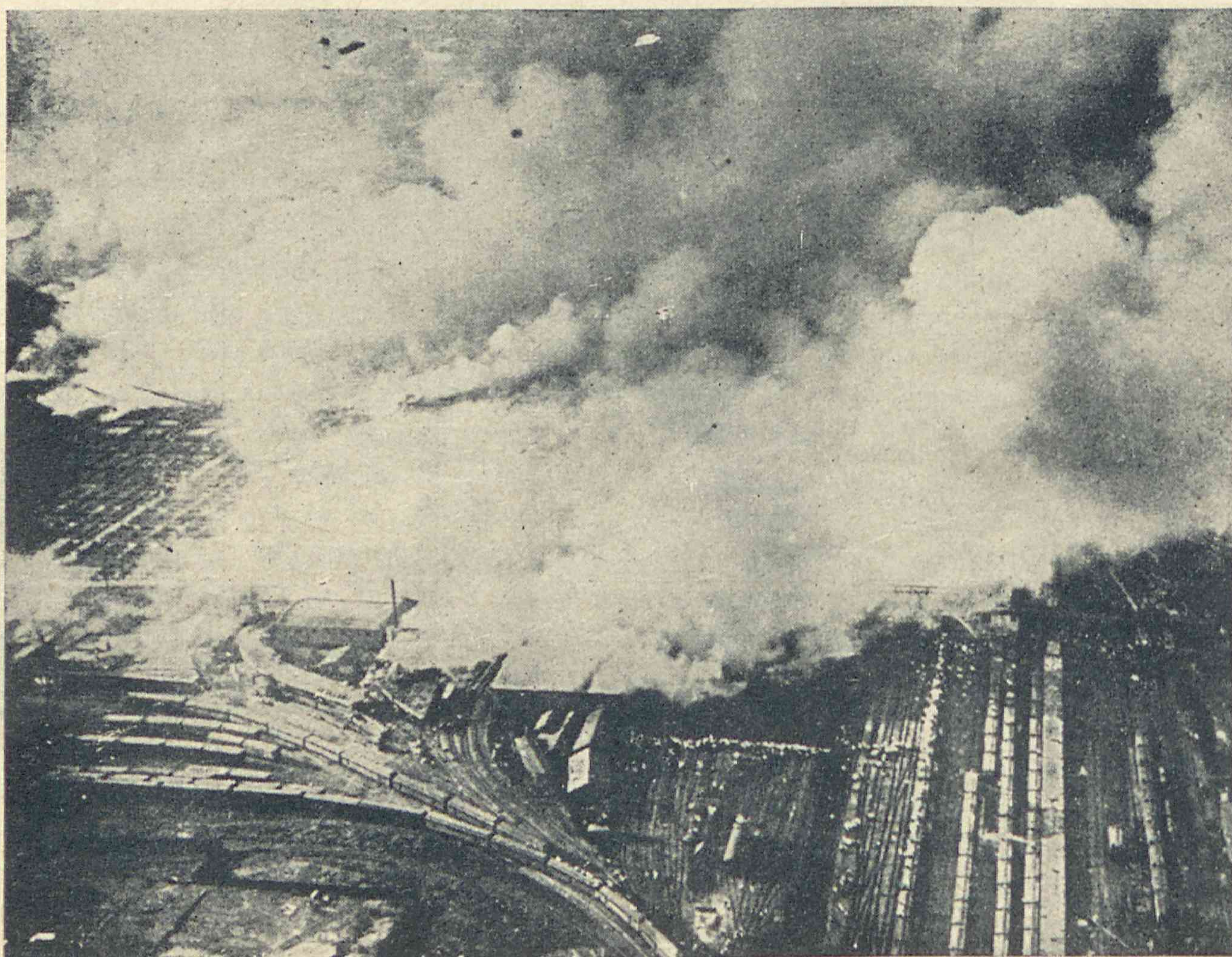
Z najgroźniejszych wymienić należy pożar browaru Machlejda, podczas którego zginął strażak I oddziału Paciorkowski Stanisław, — pożar składu mebli Kochanowicza, przy którym zginęło 2 strażaków V Oddziału: Szczepkowski Juljan i Skowroński Michał. Dalej idą groźne pożary: Zamku Królewskiego, mostu Poniatowskiego, teatru „Rozmaitości", wskutek wybuchu w Cytadeli, kościoła Św. Stanisława na Woli, fabryki „Wulkan", Lotniska cywilnego, składów wojskowych materjałów technicznych, Służby wodnej i lądowej, Banku Polskiego, dwóch pożarów na Politechnice Państwowej, fabryki motorów przy ul. Siedleckiej, wreszcie hotelu Bristol.

Obecny personel warszawskiej Straży Ogniowej składa się z 450 członków czynnych, na czele których stoją: Komendant p. Izydor Prokopp oraz kapitanowie poszczególnych oddziałów: 1-go p. Harnysz, 2-go p. Gieysztor, 3-go p. Hass, 4-go p. Lewicki i 5-go p. Markowski.

Dział techniczny przedstawia siłę wyrażającą się w zmotoryzowanych jednostkach następujących: 14 motopomp, 6 wozów rekwizytowych, 3 drabiny mechaniczne oraz 3 beczkowozy. Do powyższych dochodzą jeszcze inne autowozy pomocnicze, co w ogólnej ilości wynosi 36 jednostek.

J. G.

Czasem i największe wysiłki nie poradzą: niedawno spłonęła w Chicago olbrzymia rzeźnia miejska, pomimo natychmiastowej akcji ratunkowej wszystkich straży. Straty wyniosły 15 miljonów dolarów.



DZIECI I POŻARY

W okresie miesięcy letnich, sprzyjających powstawaniu pożarów i rozrastaniu się ich do rozmiarów klęsk masowych, znajdujemy raz po raz w ich opisach na szpaltach gazet takie mniej więcej zwroty: „pożar spowodowany został przez dzieci" lub „przyczyną pożaru była swawola dzieci, pozostawionych bez opieki" i t. p.

Szeroki ogół społeczeństwa, czytając te wiadomości, jest zawsze wyrozumiały dla tych młodocianych sprawców klęsk pożarowych.

Tymczasem zapałka, będąca dla szerokich warstw ludności przedmiotem codziennego użytku, dostając się do rąk dzieci i stanowiąc w ich rękach przedmiot zabawy, staje się przyczyną wielkich nieraz katastrof.

Tak przed dziesięciu laty dzieci były sprawcami pożaru miasteczka Ryk, kiedy spłonęło 460 budynków. Tak spowodowany został przed dwoma laty pożar m. Kolna, który strawił 395 budynków, pozbawiając dachu nad głową i mienia 295 rodzin. Tak wynikają rokrocznie setki pożarów, powodujących wielomiljonowe straty.

Według zestawień Głównego Urzędu Statystycznego w trzechleciu 1928 — 1930 dzieci były sprawcami 1,893 pożarów.

Pożary te wyrządziły szkód w samych tylko budynkach na sumę Zł. 10,382.179. Są to jednak straty, stanowiące kwotę odszkodowań pogorzelowych, ustalonych i wypłaconych przez publiczne zakłady ubezpieczeń wzajemnych. Jeżeli jednakże zważymy, że w Polsce obowiązuje tylko przymus ubezpieczenia budowli, zaś mienie ruchome, inwentarz martwy i żywy oraz zbiory rolne nie są zazwyczaj ubezpieczone, to sumę tych szkód można śmiało powiększyć o 50%.

Okaże się wówczas, że pożary spowodowane przez dzieci wyrządziły w trzechleciu strat na sumę ok. 15 miljonów złotych, czyli średnio ok. 5-ciu miljonów rocznie.

Z olbrzymiej liczby pożarów w Polsce znaczny odsetek przechodzi do statystyki przyczyn pod rubrykę „przyczyny nieznane". W trzechleciu 1928 — 1930 było takich pożarów o przyczynach nieznanych 7.777. Z tej liczby chociaż tylko 10% pożarów można śmiało przypisać również dzieciom.

Wtedy zarówno ilość pożarów spowodowanych przez dzieci, jak również szkody wynikłe w czasie tych pożarów wypadałoby powiększyć o 40%. Stąd w przybliżeniu, na podstawie statystyki z lat 1928 — 1930, można przypisać dzieciom powodowanie średnio rokrocznie ok. 900 pożarów ze stratami na sumę 7-iu miljonów złotych.

Szeroko możnaby pisać o tem, w jaki to sposób dzieci stają się sprawcami pożarów. Jeśli jednak uprzytomnimy sobie, że z ogólnej liczby pożarów spowodowanych przez dziatwę 1.773 pożary przypadają na wsie a 120 na miasta i że w miastach zginęło w płomieniach 9-ro dzieci a we wsiach 175, to jasne się staje, że zagadnienie to dotyczy w przeważającej mierze ludności wiejskiej.

To też ci wszyscy, którzy mają jakąkolwiek łączność z szerokiemi warstwami ludności wiejskiej, a przedewszystkiem duchowieństwo, ziemiaństwo i nauczycielstwo szkół powszechnych, powinni podjąć się misji uświadamiania swego otoczenia o skutkach pozostawiania dzieci bez opieki.

L. CHRZANOWSKI

WOJNA NA WSCHODZIE

Wojna na Dalekim Wschodzie, wojna między Japonją a Sowietami, jest dziś tematem roztrząsanym przez prasę całego świata.

Jedni widzą ją już za parę tygodni, inni w roku 1935-ym, jeszcze inni, patrząc trzeźwiej, odkładają ją ad Calendas Graecas. *Narazie jednak wojna jest — wojna prasy sowieckiej z prasą japońską.*

Ton dzienników obu stron jest gwałtowny, zarzuty „prowokacji", „zasadzki", „maskowanej agresji" —są polemicznemi powidłami, rozsmarowywanemi na codziennym chlebie zatargu. Przypomnijmy sobie jednak, że półoficjalny organ japoński „Nichi - Nichi" prawie dwa tygodnie temu zapowiadał groźne ultimatum Japonji, w którem miała być mowa i o strzałach pogranicznej straży sowieckiej przeciwko statkom mandżurskim nawigującym po Amurze i Sungari, i o odmowie ułatwień w północnej części Sachalinu i o przelocie sowieckich aeroplanów ponad terytorjum Mandżukoo i o wielu innych pretensjach Kraju Wschodzącego Słońca. Zarówno ta precyzja, jak i groza zapowiedzianego półoficjalnie — a nie wystosowanego ultimatum działa... pocieszająco i usposabia raczej krytycznie dla obecnych sensacyjnych zapowiedzi zainteresowanej prasy codziennej.

Napewno ani Car-Stalin, ani Mikado nie są skorzy do sięgania po broń — gdyż pomimo niechęci i rywalizacji ani jedna ani druga strona nie czuje swej dostatecznej przewagi *i obie boją się ryzyka.*

Przerwanie rokowań w sprawie kupna kolei Wschodnio - Chińskiej — to jeszcze nie wojna. Takie przerwy miały miejsce już parę razy. Doprowadziły one do obniżenia żądań sowieckich z 260 miljonów rubli w złocie do 160 miljonów — w tem 2/3 towarami. Doprowadziły też do podwyższenia oferty mandżurskiej na 120 miljonów za kolej wschodnio - chińską. Dziś przerwanie tych targów „zbiegło się" z wykryciem „spisku" na życie dostojników Mandżukoo, szefa wojskowej misji japońskiej i innych reprezentantów Japonji w Mandżurji. Ta równoległość zdarzeń zastanawia, ale i... uspokaja...

Prawdopodobnie gdy pertraktacje zostaną wznowione, spisek okaże się najwyżej zabawą „chińskich cieni".

W stosunku do Japonji utarły się w świadomości przeciętnego europejczyka pewne uproszczenia nieco już dziś przestarzałe. W Japonji widzimy przeważnie wzór ładu, stróża pokoju na Dalekim Wschodzie, przeciwwagę anarchistycznych Chin (Chin skłonnych do ulegania wpływom ideowym bolszewizmu), hamulec imperjalizmu i egoizmu Ameryki, wreszcie rywala Anglji.

To nastawienie sprawia, iż przyzwyczailiśmy się żywić dla Japonji sympatję.

Dziś jednak Japonja zjawia się nietylko jako problemat polityczny — dziś jest to czynnik gospodarczy o wszechświatowym zasięgu... Dumping japoński podcina egzystencję przemysłu europejskiego, tak jak parę lat temu na mniejszą skalę czynił to dumping sowiecki. 27 państw zastosowało już wobec Japonji i jej produktów różnorakie restrykcje! Jej dumping jest bowiem ofensywą gospodarczą przeciw całemu światu.

Wojna na Dalekim Wschodzie uniemożliwiłaby Japonji kontynuowanie podboju ekonomicznego Chin, Indji, Indochin — niemal całej Azji i innych terenów. Wojna ta dziś stwarzałaby paradoks gospodarczy: Sowiety niosłyby mimowoli sukurs kapitalizmowi Ameryki i Europy, nad któremi zaciążył ciężki ekonomiczny miecz chciwego samuraja.

TYDZIEŃ ŚWIATA

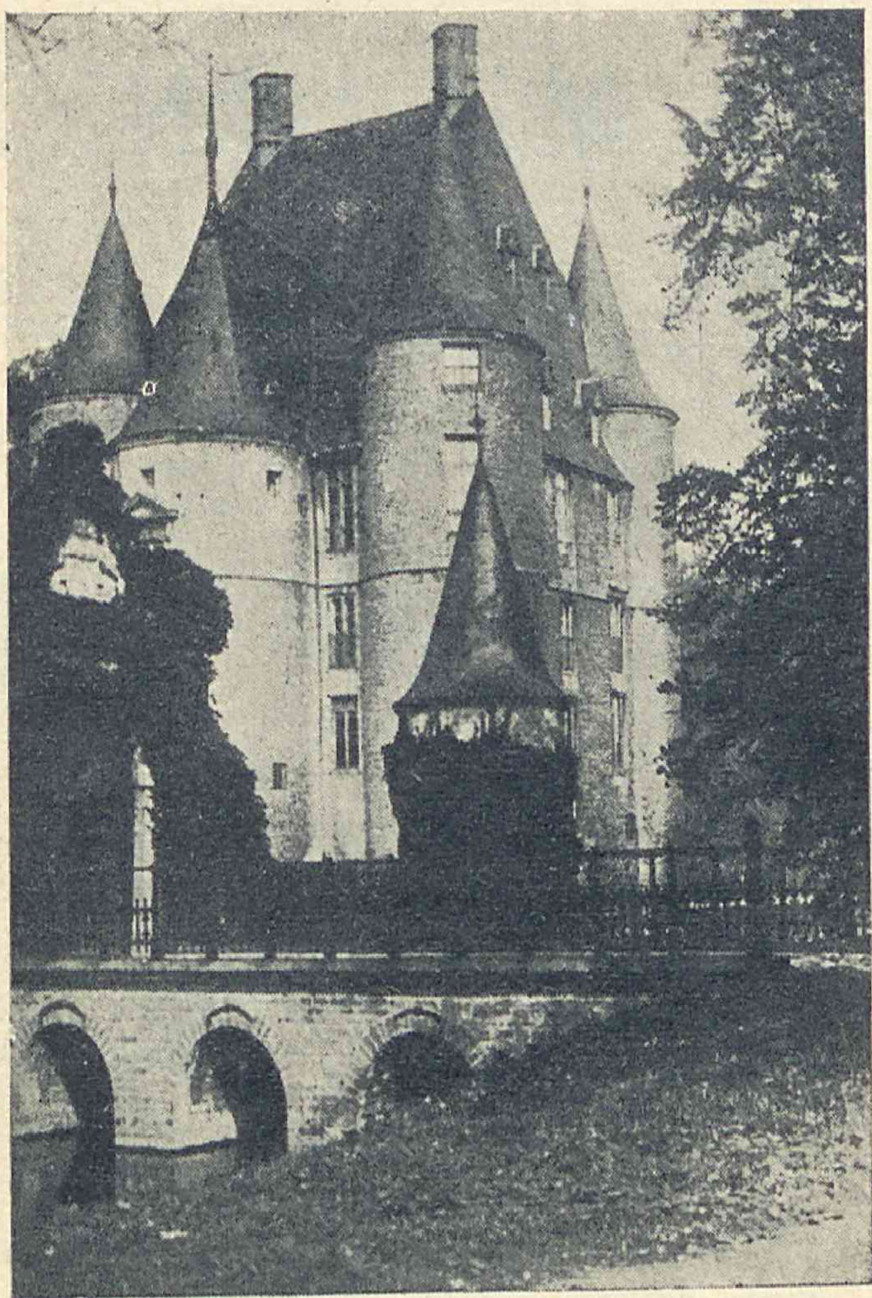
Arcyksiążę Otto działa

(x) Zainteresowanie losem Austrji nie przestaje być ciągle „żywem i palącem" zagadnieniem. Zapowiedziana podróż kanclerza Schuschnitza do Rzymu, dopiero co odbyta wizyta ks. Stahremberga i konferencja z Mussolinim, postawienie przez Mussoliniego problematu Austrji w rzędzie swych naczelnych zainteresowań sprawiają, iż wersje, pogłoski, plotki polityczne rodzą się i giną, jak grzyby po deszczu. Wśród nich wersja o „restauracji" Habsburgów odżywa coraz intensywniej to tu, to tam. W związku z temi pogłoskami osoba arcyksięcia Ottona stała się postacią niezmiernie aktualną. Jak żyje? co robi? co myśli? jak jest wychowany? — oto pytania, jakiemi ciekawość ludzka oplata sylwetkę tego 22-letniego arcyksięcia - pretendenta.



Arcyksiążę Otto Habsburg, pretendent do korony austrjackiej

Dwudziestodwuletni, dobrze zbudowany młodzieniec — z zapałem uprawiający sporty, specjalnie lubi wymykać się z gołą głową i galopować po polach z wiatrem w zawody. Okolice zamku Ham często przebiega ten zamiłowany jeździec, a poczciwi wieśniacy okoliczni, pamiętający go jako ma-



Zamek Stenokarzeele w Belgji, rezydencja obecna arcyks. Ottona.

łego chłopca, serdecznie gonią wzrokiem „kawalera Otto".. Teraz jednak od lat czterech, od uznania jego pełnoletności — arcyksiążę musi poddawać się częstym obowiązkom protokułu i ceremonjału. Cesarzowa Zyta kieruje każdym jego krokiem, jest mu przyjaciółką, matką i... cesarzową—matką. Arcyksiążę pomimo swej żywości i zdecydowanego charakteru jest synem powolnym i pełnym szacunku.

To też od pewnego czasu odbywa on recepcje, cercle towarzyskie, przyjmuje dworzan, gości, przybyłych z Austrji i Węgier zwolenników. Uczy się roli cesarza.

Często towarzyszy matce do kościoła, zawsze w oficjalnym cylindrze i urzędowym żakiecie.

Ucieczką od „ceremonjału" są wycieczki konne, lub podróże samotne, od czasu do czasu praktykowane z kierunkiem ku Skandynawji przedewszystkiem.

W czasie śmierci króla Alberta I rozeszły się pogłoski, iż arcyksiążę chce skorzystać z tego momentu i „aeroplanem" spaść do Wiednia, aby dokonać zamachu stanu. Pogłoski te były tak uporczywe, iż władze belgijskie wydały zakaz odlotu z lotnisk belgijskich jakiegokolwiek aeroplanu prywatnego.

Nic jednak podobnego nie zaszło. Po pogrzebie pogłoska ta doszła do uszu arcyksięcia. „Jestem gotów — odparł dumnie młody Otto—ale oczekuję, aby kraj mnie zawezwał, nie chcę zawdzięczać korony zamachowi stanu".

KRZYWDA POLSKICH GÓRNIKÓW

(l) We Francji, w Leforest, rozegrały się bolesne sceny pomiędzy polskimi robotnikami górnikami a zarządami fabryk i policją.

W rezultacie tego zatargu 80 *rodzin* polskich zostało z Francji wysiedlonych. Zastosowano więc karę *zbiorowej odpowiedzialności* wobec naszych rodaków.

Zastosowano najniesłuszniejszą, najsamowolniejszą metodę sprawiedliwości!

Natomiast strajkowi podżegacze francuzi — funkcjonarjusze komunizujących związków zawodowych, ci zostali nadal bezkarni, zajmują swoje stanowiska, nadal działają. Naiwność emigrantów — umożliwiła im zdobyć nowe galony rewolucyjności — a poparta przez biurokratyczną sprawiedliwość umocniła tylko krzywdę emigrantów polskich.

Święto Warszawy

Jak się dowiadujemy, Związek Propagandy Turystycznej m. st. Warszawy nie był nigdy zaangażowany w imprezie „Święto Warszawy" więcej niż tego wymagał charakter jego Biura Informacyjnego, którego obowiązkiem jest obsługa przyjeżdżających do stolicy turystów.

Za wszelkie niedociągnięcia w organizacji „Święta Warszawy" ponosi odpowiedzialność urządzające je T-wo Festivali Artystycznych w Polsce — zaś Związek informował jedynie przyjeżdżających, przydzielał im na żądanie kwatery i oddawał do dyspozycji swoich przewodników, wydawnictwa i t.p.



Rodziny górników polskich na stacji w oczekiwaniu pociągu do Polski



Zrezygnowany spokój ojców, matek i dzieci w obliczu nowego, niepewnego losu



Najmłodszy emigrant opuszcza Francję. Wyjazd polskich robotników odbył się w pełnym godności spokoju. Zgromadzona w wielkiej ilości policja nie miała nic do roboty

A IMIĘ NASZE — MILJONY!



...Pobrzękuje skarbonką i uśmiecha się...

Ze skupioną minką mała Marysia wrzuca do barwnej skarbonki P. K. O. otrzymaną od babuni złotówkę. Pobrzękuje skarbonką i uśmiecha się. Metaliczny dźwięk monet świadczy, że jest ich już sporo.

Nie na lalkę lub cukierki zbiera Marysia swoje oszczędności. Mimo, że ma dopiero osiem lat, już zapatruje się na życie poważnie, a jako właścicielka dobrego serduszka stara się w miarę możności ulżyć niedoli ludzkiej.

Zaczął się rok szkolny. Rodzice jej przyjaciółki Zosi są biedni. Nie mają na książki. Więc Marysia je kupi dla małej koleżanki.

Z początku Marysia nieufnie odnosiła się do skarbonki P. K. O. Składanie pieniędzy uważała za wymysł starszych. Lecz teraz rozumie znaczenie własnego grosza.

*

Ucichł stuk młotków. Fajerant, a jutro święto.

— Stasiek, idziemy na wódkę?

— Nie. Szkoda mi forsy.

— Przecież była dzisiaj wypłata. Mógłbyś się zabawić.

— Zaraz odniosę pieniądze do P. K.O. na książeczkę. To większa przyjemność, niż siedzenie w barze.

— Na co ty właściwie zbierasz?

— Widzisz, chcę być jak najprędzej na swojem. Wiesz, że jestem zaręczony z Helką. Jak zbiorę jeszcze kilka stówek — pobierzemy się i własny warsztat otworzę. I ciebie, jak nauczysz się oszczędności, wezmę na czeladnika.

*

W słonecznej alei parku inwalida wojenny ogląda swoją książeczkę. Rubryka „ma" powiększyła się znowu o ostatnią rentę. Na życie, utrzymanie żony i dzieci pracuje budka z papierosami.

Pan Karol chętnie mówi o swoich oszczędnościach. Starszy chłopak uczy się chętnie — chce zostać lekarzem. Nauka dużo kosztuje. Córka marzy o karjerze nauczycielki. Zresztą nawet gdyby nie miał dzieci, też by składał.

Przeciwnikom oszczędności tłomaczy:

— Czytaliście o tym doktorze z Krakowa? Chował pieniądze w domu i nieszczęściem się skończyło. Już ja tam wolę swoją gotówkę przechowywać w P. K. O. Tam pewniejsze. I krwi ludzkiej na niej nie będzie....

*

Wielki sklep z przyborami sportowemi. Antoś i Staś oglądają rakiety. Staś spogląda z zazdrością na towarzysza. Chciałby też kupić rakietę, ale wszystkie „kapitały" wydawał na słodycze i kino. A Antoś ma książeczkę. Kupi rakietę, weźmie udział w turnieju młodocianych tennisistów i może w przyszłości zostanie mistrzem Polski! Gdy wychodzą ze sklepu, Staś mówi do przyjaciela:

— Już nie będę taki lekkomyślny. Zaraz wyrobię sobie książeczkę P. K. O., a na przyszłe wakacje kupię piłkę nożną.

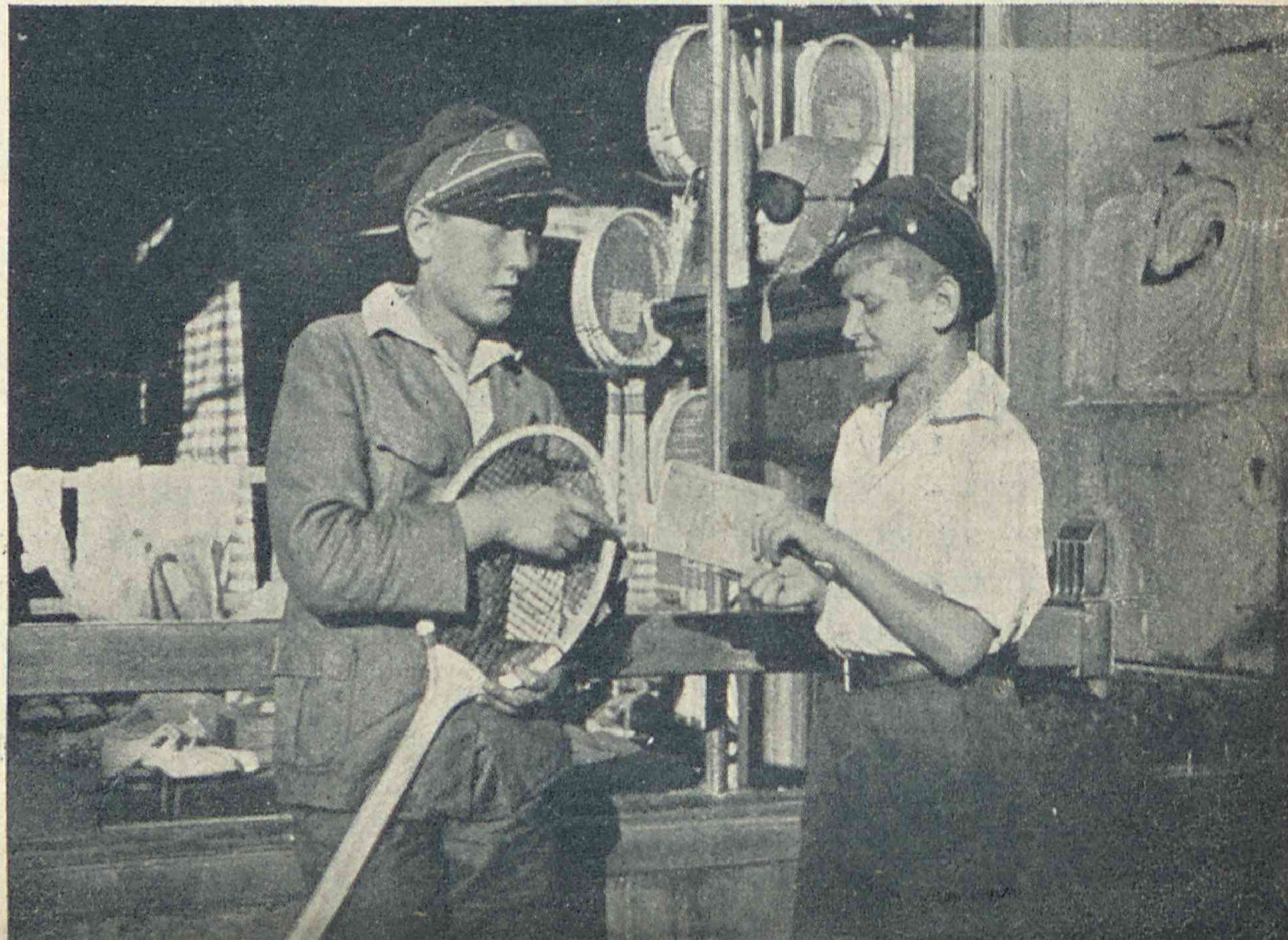


Fajerant! A jutro święto...

...Już ja tam wolę przechowywać gotówkę w P. K O...



...Staś spogląda z zazdrością na kolegę...



BOGDAN J. KWIECIŃSKI
Sekretarz Generalny ARP
kierownik zawodów Challenge 1934.

OLIMPJADA LOTNICZA W POLSCE

O godzinie 12 minut 30, we wtorek, 28 sierpnia na przebudowanem i przystrojonem lotnisku Mokotowskiem,—w obecności Pana Prezydenta Rzeczypospolitej podniesione zostaną na maszty barwy pięciu państw: Polski, Niemiec, Francji, Włoch i Czechosłowacji. Z tą chwilą wybrane załogi ponad 40 najnowocześniejszych samolotów klasy lekkiej rozpoczną zawzięty, choć w ścisłe ramy reguł sportowych zawarty, turniej o palmę pierwszeństwa. W/g listy zgłoszeń liczby są następujące: Niemcy — 16, Francja — 8, Włochy — 6, Czechosłowacja — 4, Polska — 13 (w tem 2 cudzoziemców).

Challenge, to cudzoziemskie słowo od dwu lat wrosło w świadomość mas polskich. Dziś już, — o dziwo! — kreślone jest bezbłędnie nietylko przez świadomych tajników francuszczyzny czy angielszczyzny inteligentów, ale i przez najmłodszych uczniów szkół powszechnych.

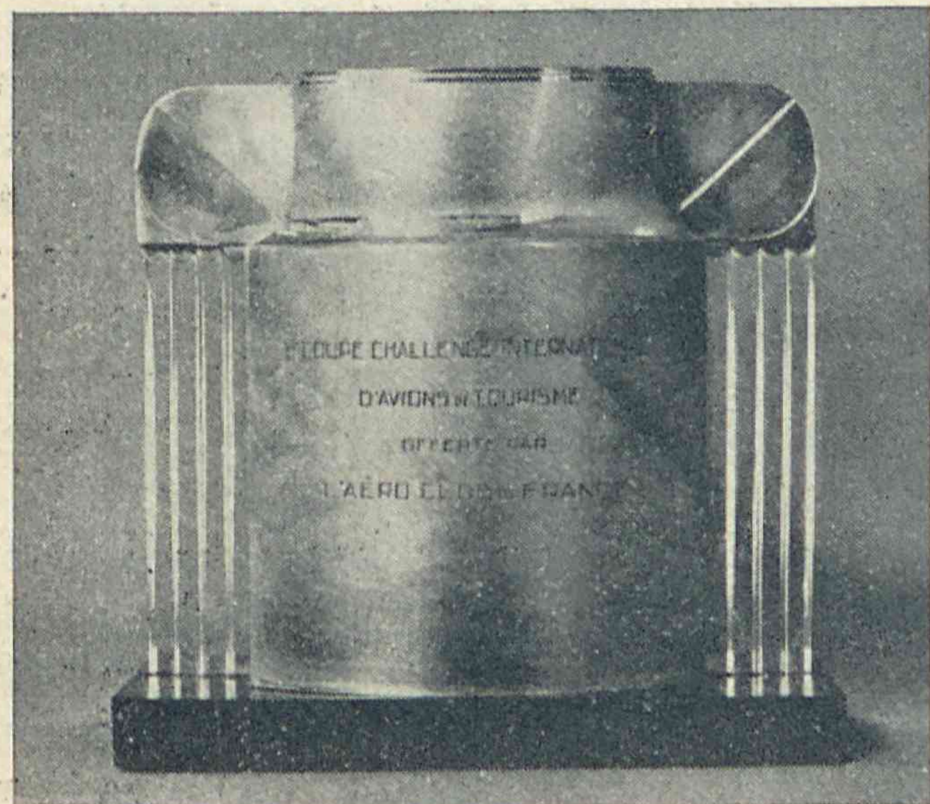
Cóż to jest ten Challenge?

W roku 1929 Aeroklub Francji zgłosił w Międzynarodowym Związku Lotniczym inicjatywę odbywania okresowo międzynarodowych zawodów samolotów lekkich. Ufundowana przez Francuzów na te zawody nagroda wędrowna „Coupe Challenge d'Avions de Tourisme" przechodzi w wyniku pierwszego konkursu, odbytego w r. 1929 w Paryżu, w ręce Niemców. Od tego pierwszego konkursu zawody Challenge'owe ulegają głębokiemu przeistoczeniu.

Moment czysto sportowy w zawodach Challenge'owych ustąpił pierwszego miejsca momentowi postępu technicznego.

Konkurs ten przestał być równocześnie zawodami prywatnych miłośników, stał się imprezą, w której angażować się poczęły barwy lotnicze całych poszczególnych państw.

Gdy idzie o zasady Zawodów Challenge'owych, to składają się one z szeregu prób i konkursów.



Puhar „Challenge de Tourisme International", zdobyty w 1932 r. przez kpt. Żwirkę i Wigurę dla Polski

Ocena techniczna samolotów: ilość miejsc, wygoda lecących, widoczność z kabiny, bezpieczeństwo etc.

Próby t. zw. techniczne: rozruch silnika (szybki, najlepiej bez opuszczania miejsca członków załogi), demontaż i montaż (łatwość transportu), start i lądowanie (możność użytkowania najmniejszych lądowisk), szybkość minimalna (podobnie), zużycie paliwa (ekonomiczność).

Lot Okrężny: ponad 9 i pół tysiąca kilometrów w różnorodnych warunkach terenowych, meteorologicznych i klimatycznych: kraje Europy Zachodniej, Pireneje, górzysta Hiszpanja, Półn. Afryka (nawet jesienią wysoka temperatura) 200 kilometrowy przelot nad Morzem Śródziemnem z Tunisu do Włoch i dalej przelot Włoch z południa na północ, Jugosławja, Austrja, Czechosławja. Później etapy polskie: Katowice — Lwów — Wilno i centralne lotnisko zawodów—Warszawa.

27 lotnisk o postoju obowiązkowym, 8 punktów kontrolnych, gdzie należy zrzucać meldunki. Wysiłek dzienny pilota wyniesie w Challenge 1934 około 1500 km.

Polska w pierwszym Challenge w r. 1929 udziału czynnego nie brała.

Pierwszy Challenge przypadał na początkowy okres rozwoju naszego lotnictwa sportowego. Wyczyny ówczesnych samolotów naszych nie dorównywały wyczynom maszyn zagranicznych.

W Challenge 1930 roku poraz pierwszy zjawia się Polska ze swym własnym dorobkiem.

Z jedenastu polskich zawodników 7 przybyło do mety. Czołowy zawodnik polski, pilot Stanisław Płonczyński, zajmuje na samolocie RWD-2 miejsce 19-te, co przy niewielkiem zróżniczkowaniu w punktacji wśród pierwszych 20 zawodników uważać należało za znaczny sukces. Uczestnicy polscy mieli dużo defektów silników.

Do Challenge 1932 r. przystąpiliśmy już z poważnym zasobem doświadczenia zarówno konstruktorów, jak i zawodników.

Polska zdobyła wówczas pierwsze miejsce nietylko w rozgrywce indywidualnej, lecz także w walce ekip. Średnia ilość punktów na zawodnika zgłoszonego wypadła dla nas najlepiej.

Sukces barw polskich w Challenge'u 1932 r. był kompletny i bezsporny.

Z prób technicznych Challenge 1932 wyszli Niemcy gorsi od czołowych Włochów i Polaków. Różnice starali się za wszelką cenę nadrobić wynikami Lotu



Challenge 1932.
Samolot polski RWD 6 na bramce

Okrężnego, współzawodniczyli zaciekle z Włochami, a później, w szybkiem tempie zbliżali się grupą do Żwirki (Poss, Hirth, Morzik).

Udział Francuzów w Zawodach Challenge nie zapisał dotychczas dla barw francuskich żadnego większego sukcesu. W Challenge 1930 do klasyfikacji końcowej wchodzi tylko 2-ch Francuzów.

Ekipę francuską w roku 1932 cechuje wielka różnorodność. Połowa samolotów odpadła podczas zawodów. Najlepszy z zawodników francuskich znalazł się na 20-em miejscu, reszta zaś zajęła końcowe miejsca klasyfikacji.

Włochy w roku 1930 nie biorą udziału w Challenge'u.

W roku 1932 wystawiają na Zawody zwartą, jednolitą i dyscyplinowaną grupę samolotów Breda o wybitnych cechach konkursowych, standartowem wyposażoniu i ekwipunku, obsadzonej wybitnymi pilotami. Dostają się masą na czoło przy próbach technicznych z najlepszym co do punktów Colombo. W locie okrężnym po wypadkach odrywania się skrzydeł Breda'y zostają wszyscy wycofani.

Czechosłowacja uczestniczyła w Zawodach 1929 i 1932.

W pierwszym Challenge'u zawodnik czeski Kleps zajmuje zaszczytne 7-me miejsce w klasyfikacji końcowej.

W roku 1932 kończy Zawody 3-ch Czechów, z których najlepszy Kalla na Praga 111 zajmuje 12-te miejsce (po naszym zawodniku kpt. Bajanie), drugi Anderlex — miejsce 19-te i Kleps — miejsce 21-e.

Z której z ekip wyjdzie zwycięzca Challenge 1934? Odpowiedź na to pytanie dać może tylko wyścig końcowy Challenge'u, który odbędzie się 16-go września po południu, z metą na lotnisku Mokotowskiem w Warszawie.

Z. NORBLIN - CHRZANOWSKA

„POLSKA I POLACY W ŚWIECIE"

Olbrzymi temat wystawy, zorganizowanej z okazji 2-go Zjazdu Polaków z Zagranicy, trudno było oczywiście zamknąć w szczupłej przestrzeni użyczonej przez Muzeum Wojska. To też o *ilość* wnosić pretensji nie należy — jest jej tyle, ile się zmieściło, czasem nawet więcej. Zato co do *jakości* mieć można wiele zastrzeżeń.

* * *

Zaczniemy.... od elementarza, t. j. od gramatyki i ortografji.

Specjalny artykuł należałby się nieporadnemu językowi tekstów, których na wystawie jest mnóstwo, a które niewiadomo kto dyktował. Chyba stylistów nam nie brak. Przecież nawet stare prawdy można ująć w niewyświechtane, krótkie zdania.

Graficznie—manja napisów ciągłych, bez przerw między wyrazami, wytwarza koszmarną niemożność odczytania zdań najprostszych nawet dla czytelnika jako tako z drukowanem słowem otrzaskanego. A miary dopełnia rewolucyjna pisownia, przeważnie stosowana w dłuższych tekstach. Mianowicie dla ułatwienia sobie pracy wykonawcy napisów usunęli z alfabetu polskiego tylko takie litery: ą, ę, ń, ć, ś, ź, ó, ż. Przeważnie zatem czytamy i nie rozumiemy, o co chodzi. Na ścianie „Polacy we Francji" sypią się setkami tak pisane słowa: *paryz, rzadu, przejeli, zwiazek, zwiazkow, biletow, komitetow, czesciowo, wiezien, wiezniow, dokumentow, glownie, przyczyniaja* etc. do nieskończoności.

Naturalnie *polska* i *francja* małemi literami...

I, jakby dla podkreślenia tego niechlujstwa, jest na tej ścianie napis:

MY CHCEMY UCZYC SIE JEZYKA POLSKIEGO.

A gdzieindziej czytamy chwalebną sentencję:

UMIEJETNOSC CZYTANIA I PISANIA PO POLSKU TO PIERWSZY OBOWIAZEK POLAKA ZAGRANICA...

Co ten Polak z zagranicy pomyślał sobie o „mowie ojczystej", tak niemiłosiernie kaleczonej na Wystawie?

Pomyślał, że w Warszawie ta umiejętność widać wcale nie obowiązuje.

Do czego taka „fantazja" połączona z beztroską ignorancją prowadzi? Do tego, że w stoisku sportowców, pod arkadami, analfabeta wypisał nazwisko Wigury — przez O kreskowane. Ale że O kreskowanego jako grafik nie uznaje, więc kreskę usunął. I słynne na cały świat nazwisko, które każde dziecko polskie umie napisać, na naszej wystawie propagandowej zostało bezceremonjalnie przekręcone: niema już *Wigury*. Jest zato *WIGORA!*

* * *

Przejdźmy jednak od gramatyki do sztuki, zobaczymy, jakie są walory plastyczne wystawy.

Niewykończone ściany Muzeum zużytkowano w pierwszym dziedzińcu jako tło dla niebardzo zrozumiałej symbolicznej rzeźby, przedstawiającej jakoby „Mocnego Polaka". Już kursuje po Warszawie powiedzonko o tej figurze, jakoby to był „Mocny Polak... po szkodzie".... (ilustr. 1).

Ale tu był chociaż wysiłek. Idąc dalej, widzimy coś karygodniejszego: poprostu niedbalstwo.

Zdumienie ogarnia widza—zwłaszcza widza z zagranicy, gdy spojrzy na ponurą piaszczystą pustynię, która stanowi właściwy teren centralny Wystawy. Z pustyni tej wchodzi się do wszystkich pawilonów — zatem ominąć jej nie sposób. A opłakany stan tego podwórka jest taki, że wolałoby się, aby przynajmniej Polacy z zagranicy go nie widzieli...

Jest to tem bardziej przykre, że estetyczne, z bardzo znacznym nakładem pracy wykonane stoisko P. K. O., zajmujące środek dziedzińca, stanowi nader szczęśliwy akcent dekoracyjny, który dyrekcja wystawy powinna była wyzyskać i uzupełnić, jako przyjemne miejsce wypoczynku dla zwiedzających. Wystarczało tak niewiele. Piach, wzbijający się obecnie tumanami kurzu, należało przykryć darnią — której chyba mogły dostarczyć doskonale prowadzone miejskie zakłady ogrodnicze. Solidnie ułożone chodniki betonowe przecinałyby zieleń trawy, a obramowane rabatami kwiatów stanowiłyby miłe przejścia do pawilonów.

Cóż zrobiono? — Zapowiadano wysypanie całego dziedzińca żwirem — już chyba naprawdę minimum wysiłku — i nawet tego nie dokonano. Parę chodników betonowych ułożono pod ścianami, ale zlekceważono właśnie stoisko centralne, t. j. P. K. O., do którego od głównego wejścia przeprowadzono wdzięczną ścieżkę... *wybrukowaną kociemi łbami!* Natomiast do budki z wodą sodową zdobyto się na chodnik betonowy. Czyżby dla dyrekcji wystawy ważniejsza była budka z wodą sodową?

Pod arkadami dziedzińca umieszczono działy sportów, organizacji młodzieży i Strzelca—dość żywo ujęte.

Bardzo dobre w swej lakonicznej wymowie jest stoisko Polskiego Instytutu Współpracy z Zagranicą: mapa wszystkich części świata a na niej barwnie oznaczone bardzo liczne punkty kontaktu Instytutu z instytucjami i czynnikami społecznymi. Żadnych zbędnych napisów, żadnej przewlekłej gadaniny, której aż nadto mamy w innych stoiskach. Obraz przemawia tak jak powinien: walorami plastycznemi. Niezawodne połączenie ultramaryny ze srebrem daje przyjemny efekt kolorystyczny.

* * *

Wykręcając sobie nogi na kocich łbach ścieżki, dostrzegam po dłuższych poszukiwaniach wejście do głównego pawilonu — tak pozbawione cech dekoracyjnych, że zwiedzając wystawę za pierwszym razem zupełnie te drzwi ominęłam, sądząc, że prowadzą do jakichś prowizorycznych składów.

Ani jednego drzewka, ani źdźbła zieleni przy wejściu — nic, coby zaznaczało elementarną dbałość o podkreślenie doniosłości tego miejsca.

A miejsce chyba jest ważne. Jest to pawilon propagandowy Polski i Polaków z zagranicy...

Przy wejściu przeciskam się przez zbitą gromadkę głośno krzyczących młodzieńców z opaskami na ramieniu. Są to, jak się okazuje, „oprowadzacze" po wystawie, która niedość zrozumiale przemawia do widza i wymaga obszernych ustnych komentarzy. Młodzieńcy w danej chwili byli „bezrobotni", bo w salach było pusto. Więc zabawiali się głośną rozmową — tak głośną, że zwiedzanie wystawy, polegające na uważnem i skupionem *czytaniu* niezliczonych napisów, było niemal całkowicie uniemożliwione.



1. *„Mocny Polak" na frontonie Wystawy* Photo-Plat



2. *Sala „Potęga Polski". W rogu niefortunnie wykonana głowa Marszałka Piłsudskiego*

Ogólne wrażenie wystawy: chaos. Brak ogólnej myśli, brak jednej głowy, któraby kierowała całością.

Była niedawno w IPS-ie niezwykle interesująca wystawa sztuki reklamowej i grafiki. Wszyscy mieliśmy sposobność stwierdzenia naocznie, że ten dział sztuki stoi w Polsce bardzo wysoko, że posiadamy całe zastępy artystów umiejących świetnie skomponować plakat, tekst reklamowy, płaszczyznę propagandową czy witrynę wystawową. Zdawało się, że właśnie te zastępy fachowców znajdą szeroką możliwość wypowiedzenia się na wystawie „Polska i Polacy w świecie" — gdyż wzorując się na faszystowskiej w Rzymie, wystawa ta prawie wcale nie uwzględnia eksponatów rzeczowych, składa się natomiast niemal w całości z wykresów, kompozycji graficznych, haseł, fotomontaży, plakatów.

Wbrew logice jednak ani jeden artysta z wystawy w IPS-ie nie figuruje w katalogu wystawy „Polska i Polacy w Świecie". A rezultat? Z nielicznemi wyjątkami, które w miarę zwiedzania stoisk wymienię — wystawa pod względem kompozycji jest chaotyczna i bezmyślna, pod względem rysunku niedołężna, pod względem koloru — poprostu brudna.

Odrazu na wstępie rzuca się w oczy pierwszy kryminał wystawy: głowa Marszałka Piłsudskiego, wykonana nieporadnie, a w tak potężnych rozmiarach, że wygląda — napewno wbrew intencji twórców — jak spory komin kuchenny z okapem (ilustr. 2).

Tuż obok — pod kiepsko malowanym knotem czytamy szumny napis: „Gdynia — wrota Polski na świat". Jak to przedstawiono? — Przez otwartą bramę patrzymy na brudnawą mgłę czy jakieś kłębowisko szarej waty, w którem mamy się domyśleć morza i nieba. Czy ten mdły „widoczek", pod względem malarskim niezmiernie nieudolny — stanowić może symbol kipiącej życiem i amerykańskim rozmachem Gdyni?

Opisywać wszystkich ścian niesposób. Za wiele literatury jest w tych salach. Wadą całej wystawy jest to, że nie pomyślano jej plastycznie — ale literacko. Napisy zastępują inwencję malarską, która powinna była wyrażać wszystko. Takich wymownych choć nie gadatliwych ścian jest zaledwie kilka. Z innych płyną potoki frazesów. Pomysły zestawień często niezrozumiałe: Np. w dziale „Polacy w Czechosłowacji" — skąd obok komina fabrycznego wyskoczył Pan Jowialski? I dlaczego pośrodku ściany te złowrogie kamienne trupy trzymają się za rączki? (ilustr. 3). Kogo mają przedstawiać?

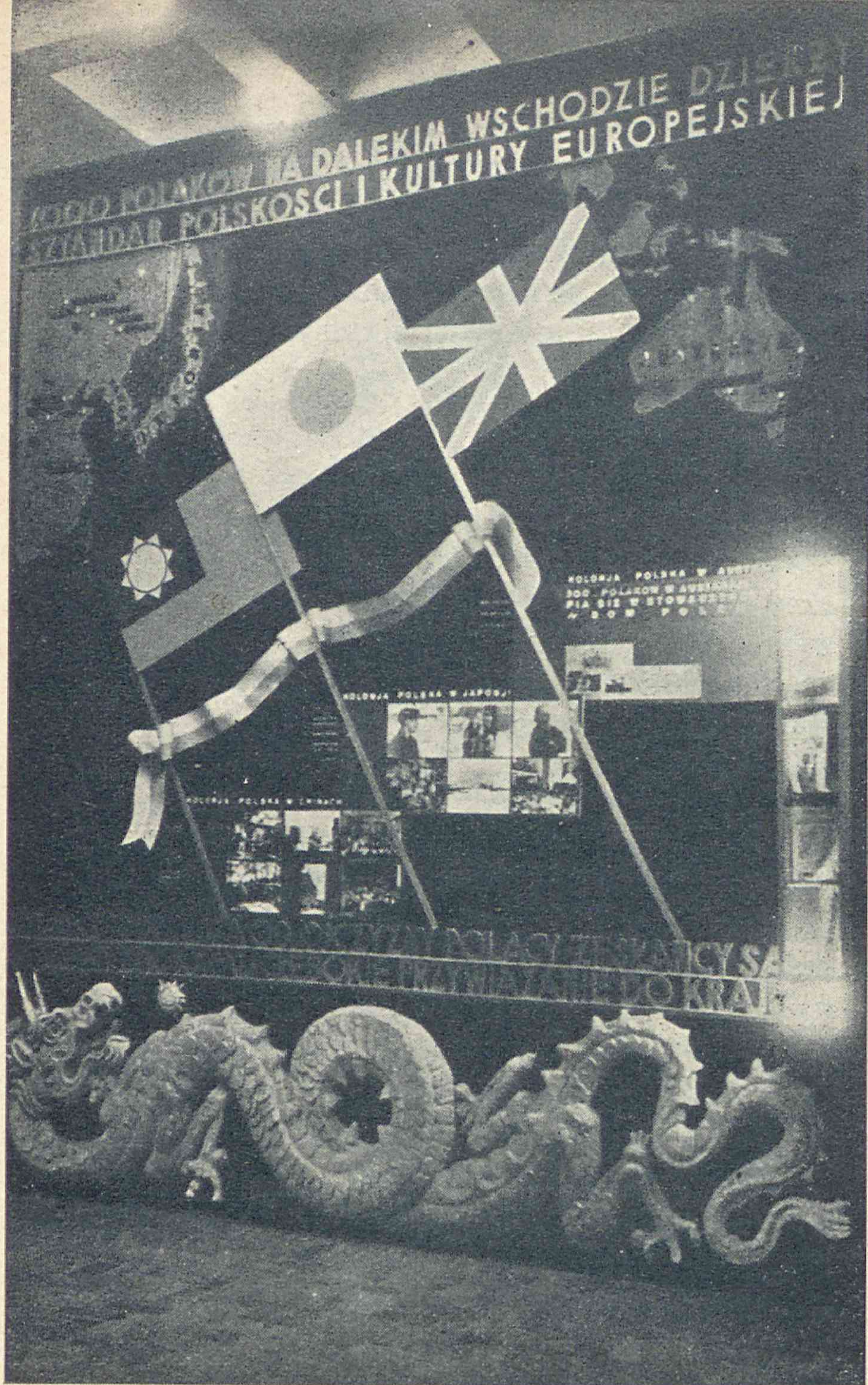
Z rzeźbą jest wogóle na tej wystawie smutno. Rzeźba jeszcze gorzej od malarstwa znosi blagę i nieuctwo. A tu jak na złość niemal na każdej ścianie jakieś wojaki nieprawdopodobne, jakieś „ten i tamten dwa bratanki" — jakieś znowu w dziale „Polacy w Niemczech" horendalne figury symboli-

3. *Polacy w Czechosłowacji*



4. *Szkolnictwo polskie w Niemczech* Fot. Ilustr. Pras





5. *Polacy na Dalekim Wschodzie* Fot. Ilustr. Prasy

czne (ilustr. 4). A kiedy ma się wrażenie, że się przebrnęło przez najgorsze, następna sala podstępnie przygotowuje nowe, jeszcze boleśniejsze niespodzianki.

Wprost ohydną rzeźbę umieszczono np. w dziale Danji, gdzie straszliwie pokręcony epileptyk w chwili ataku szału ma wyobrażać siewcę - rolnika polskiego.

Nie jest dobrze niestety nawet z dokładnością wykresów. Na ścianie „Polskie szkolnictwo w Niemczech" np. widać z zestawień liczbowych, że ilość szkół polskich w Rzeszy w ciągu ostatnich dwuch lat spadła prawie do stanu z przed lat czterech. *Liczby* uczciwie to przyznają. Ale *plastyczny wykres* — to znaczy ta wymowa, która łatwiej trafia do widza — nie uwzględnia prawdy liczb. I przedstawia nam sprawę tak, jakby od lat trzech ilość szkół polskich w Rzeszy stała mniej więcej na niezmienionym poziomie. A optymistyczny napis pnie się nawet ku górze i głosi dumnie: „DROGA DO JUTRA".

Ładnie się zapowiada to jutro...

Jeżeli tak bałamutny wykres uważano za właściwy i celowy—to stwierdzić jednak trzeba, że widz niezawsze jest tępy. I niejeden Polak z Niemiec zwrócił baczną uwagę na tę specjalną matematykę.

Od wielu napisów, nieczytelnemi literami głoszących szlachetne sentencje, odbija szczęśliwie swą milczącą ale potężną wymową zestawienie dwuch kościołków: z pod Krakowa i z Gliwic. Bliźniaczo podobne! To są właśnie „dwa bratanki" — i takie przykłady działają na wyobraźnię skuteczniej od całych foljałów pisaniny.

Z sensem i po malarsku rozwiązana ściana — to „Polacy na Dalekim Wschodzie". Na czarnem tle złote litery, czerwone ornamenty, a u dołu szaro-złoty smok chiński (ilustr. 5). Rytmiczny układ, czytelne napisy, zaradność w operowaniu kolorem i materjałem — oto zalety tego stoiska.

Dobrze też pomyślane jest stoisko Seminarjum Zagranicznego: tło srebrne, cynobrowe litery —całość w stosunku do treści może aż za bardzo nowoczesna w ujęciu.

„Prasa polska zagranicą" — znów jedna z lepszych ścian. Na żółtem tle czerwone i czarne litery — kompozycja jasna i prosta. (ilustr. 6).

Instytut Badań Spraw Narodowościowych ma efektowne stoisko, gdzie wyzyskano umiejętnie światło, kolor i rytm powtarzających się linji. Estetyczną ścianę „Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy" szpeci sąsiedztwo bardzo nędznych „rzeźb", (ilustr. 7).

Poważna jest ściana zatytułowana „Opieka Rządu" — niestety buraczkowy kolor tła niweczy efekt: gdyby dano czysty karmin lub cynober — wrażenie byłoby zupełnie estetyczne.

Niewiadomo dlaczego „artyści", dekorujący wystawę, jak ognia, bali się kolorów czystych — jedynych przecież celowych przy każ-

6. *Prasa polska zagranicą* Fot. Ilustr. Prasy



7. *Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy*



dym pokazie propagandowym. Te tony mdłe, brudno - niebieskie, barszczykowo - czerwone, zgniłozielone, jakiemi się przeważnie posługiwali, stwarzają antytezę efektu pożądanego: odpychają widza, zamiast go pociągać, nudzą go, zamiast zaciekawiać.

Należało przypuszczać, że przynajmniej stoiska sztuk plastycznych, literatury i muzyki, olśnią zwiedzających wysokim poziomem artystycznym.

Gdzietam. W stoisku sztuki „Ład" wystawił bardzo skromną ilość bardzo pięknych tkanin, ale nad nim wisi potworny bohomaz, zaopatrzony w jeszcze potworniejszy napis.

Literatura została doszczętnie ośmieszona: proszę spojrzeć na tego pokracznego Mickiewicza (ilustracja 8) — jak sobie przykucnął przy kupce książek, złapał się kabotyńskim ruchem za serce, główkę nieporadnie przekrzywił, a krótkie koszlawe nóżki ustawił niezdarnie... Obok niego Sienkiewicz i Szopen podstawieni są pod takie gilotynki, pod jakiemi mierzy się wzrost rekrutów. Czy aby trzymają miarę?



8. *Literatura i muzyka — „Mocarze ducha i sztuki"*
Fot. Ilustr. Prasa

Naprzeciwko tej trójcy Kopernik z miną przerażoną zajmuje centrum ściany, po bokach mając głowy Marji Skłodowskiej-Curie i Prezydenta Mościckiego.

Estetycznie biorąc — stoiska sztuki, nauki i kultury polskiej wypadły bardzo słabo. A przecież Polacy z zagranicy, dla których ten pokaz urządzono, mieli wyjść z wystawy, przekonani o wielkości naszego kulturalnego dorobku...

(Interesujące pawilony Min. Komunikacji, Monopoli Państwowych, Loterji i działu egzotyki na Wystawie omówimy w najbliższym numerze).

104.039 WYGRANYCH

Liczne rzesze, obojga płci, kokietujące fortunę za pośrednictwem Polskiej Państwowej Loterji Klasowej, czeka miła niespodzianka. Oto poczynając od 31 Loterji liczba wygranych wynosić będzie 104.039, zamiast dotychczasowych 76.529.

W jaki sposób się to stanie? Przez rozbicie większych wygranych na sto i pięćdziesięciotysięczne, które będą ciągnione w ostatnim dniu każdej klasy. W loterjach poprzednich była pewnego rodzaju niewspółmierność. Wybraniec fortuny wygrywał naprzykład 300.000, inni mniej szczęśliwi gracze zadawalać się musieli drobniejszemi sumami. Teraz trzech grających będzie miało szanse zdobycia stu tysięcy na swój los.

W nowym planie przewidziano następujące większe wygrane: w I klasie jedna à 100.000 zł., w II dwie, w III trzy, w IV cztery i miljon. Ze względu na trudny podział, ze względu iż bardzo wiele osób gra na ćwiartki, wygrane po 15.000 zł. będą zniesione, a zwiększy się ilość wygranych po pięć i dziesięć tysięcy.

W loterji 31 odtworzona zostanie dawniejsza stawka, ciągniona w pierwszych trzech klasach normalnie, a w IV-ej jako nagroda pocieszenia, losowana od 12 dnia ciągnienia. Wygrane pocieszenia przyznawane będą tylko tym losom, na które nie padła żadna wygrana. Dodatkowy miljon rozdzielony został na 400 wygranych pocieszenia po 2.500 zł.; pozatem ustalono 18.515 wygranych pocieszenia po 50 zł. i 1.200 po 500 zł. Rzecz prosta, że pierwsza stawka, wyciągnięta w ostatnim dniu ciągnienia IV-ej klasy, otrzyma swój pełny miljon. Raz jeszcze zaznaczyć należy, że z wygranych potrąca się jedynie 20% ustawowo, wszelkie zaś inne potrącenia są wykroczeniem, surowo karanem.

Tak się przedstawia nowy plan gry w 31 Loterji, wyłożony barwnie i urozmaicony ciekawemi, a nieraz humorystycznemi epizodami z życia graczów, na konferencji prasowej przez dr. Markusa. W konferencji wzięli udział przedstawiciele niemal wszystkich pism stołecznych, ze strony zaś dyrekcji Loterji — dyrektor naczelny St. Markus, radca Waroczewski i J. Plewiński.

Ze swej strony życzymy naszym czytelnikom, aby znaleźli się na liście 104.039 wybrańców fortuny.



Dyrektor naczelny Loterji, dr. S. Markus, na konferencji prasowej wyjaśnia nowowprowadzone udoskonalenia.

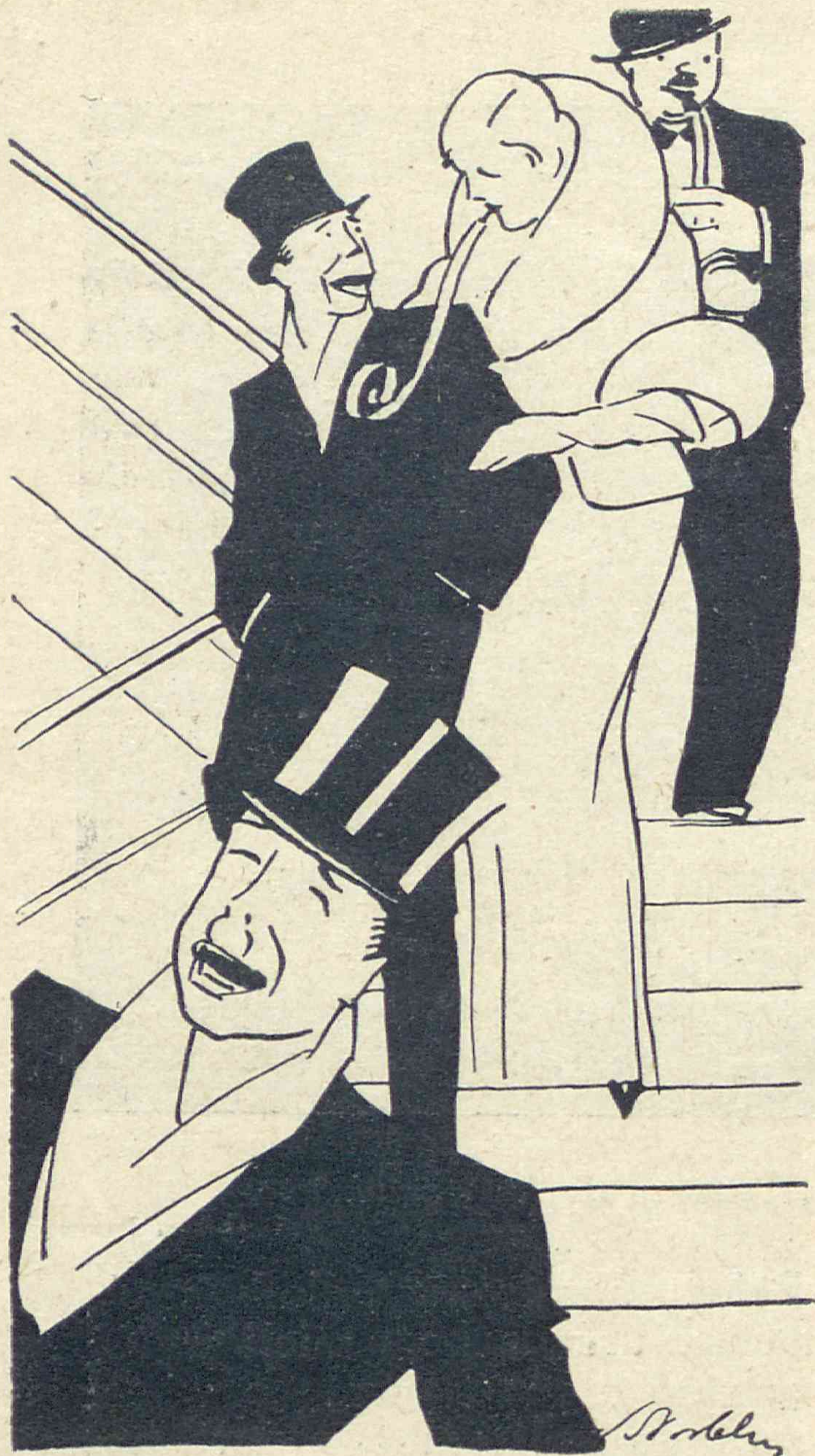
STANISŁAWA KUSZELEWSKA

Z CYKLU „KULTURA DNIA POWSZEDNIEGO"

III.

O DOMU CUDZYM

(*Ilustrował S. Norblin*)



..gwalt, krzyki, piski, bo towarzystwo sobie podpiło...

Pomyślmy sobie trochę o takich zetknięciach z domem cudzym, z domem bliźniego, które, nie będąc odwiedzinami, wprowadzają nas jednak do wnętrza czyjegoś mieszkania, lub wgłąb czyichś spraw najcodzienniejszych.

To przedewszystkiem *telefon, list, umowa* i *plotka.*

Telefon! Ta czarodziejska skrzynka współczesności, poczciwa a jadowita, pożądana a nienawistna, konieczna a nieznośna. Telefon jest najpospolitszym środkiem gwałcenia neutralności cudzego domu.

— O, ja sobie nie założę telefonu, — mawia pewien literat — ja muszę żyć.

Istotnie, żyć z telefonem jest trudno. Prawie tak trudno, jak bez niego.

Ktoś zasiada do biurka i zamierza pisać lub studjować. Ktoś inny zasiada do fortepianu i zamierza popracować nad muzyką. Nagle telefon: Możeby pan (albo pani) zorganizował... walkę z komarami w swojej dzielnicy, akcję przedwyborczą, albo kursa obrony przeciwgazowej, albo przedświąteczną zbiórkę odzieży? Tylko tyle.

Po chwili: „Odbywa się zjazd Stowarzyszenia X. Proszę przyjść. Sprawy tak zwane „palące".

I jeszcze: mało znajomy pan: do kogo należy się udać, ażeby..." Tak bez końca. Cóż jest warta jakakolwiek praca, pokrajana dzwonkiem telefonu na kawałki? Najprostsze wyjście: wyłączyć. Nie, wcale nie takie proste, choćby wtedy, gdy dzieci, zwłaszcza małe, znajdują się poza domem. Trzeba więc znosić cierpliwie, a raczej niecierpliwie, tę niesłychaną bezceremonjalność, a nawet brutalność, z jaką znajomi i nieznajomi wdzierają się przez telefon do cudzego domu, nie myśląc o tem, że przecież w domu wolno człowiekowi myśleć, odpoczywać, pracować — no, wreszcie chorować, a nietylko cały dzień odbierać telefon..

Jeszcze jedna sprawa, sięgająca do cudzego domu, a raczej do cudzej kieszeni — długi. Czy oddał wam kto kiedyś 5 złotych? Bo mnie nie. Owszem, oddawano mi niekiedy 50. Ale pięciu — nigdy. Natomiast znam takich, którzy przestają znać wieloletnich, „ukochanych" przyjaciół, dlatego tylko, że powinni im oddać, no... powiedzmy... sto złotych.

Nie mówić już o długach, prawda? Tak, naturalnie, ja wiem, to bardzo nieprzyjemna sprawa...

No więc dobrze — listy. To też jedno z naszych ustosunkowań się do cudzego domu, do drugiego człowieka. Niewarto mówić o tem, że nieodpisanie na list, to szczyt braku kultury i t. d. Niewarto, bo każdy o tem wie i każdy, w miarę potrzeby, zapomina. Więc nic nie powiem o listach nienapisanych. Natomiast o listach napisanych chciałabym powiedzieć, że odbijamy się w nich jak w lustrze, a nieraz bardzo nieostrożnie zapominamy, że list zdradzi wszystko, co tylko o kulturze jego autora powiedzieć można. List, jako całość: papier, pismo, naklejenie marki, adres, styl! A treść... ach, treść nie zawiera bynajmniej tych tylko wiadomości, któreśmy wypisali. Zawiera ich znacznie, znacznie więcej.

Jeszcze kilka słów o braku szacunku dla cudzego domu i jego spraw. Ów brak szacunku wyraża się najdotkliwiej i najbardziej niekulturalnie w lekceważeniu wszelkich umów i przyrzeczeń. W Polsce naogół ludzie są spokojni i czyny te uchodzą winowajcom na sucho, chociaż właściwie — nie powinny. Malarz pokojowy (bez aluzyj politycznych) rozpoczyna remont akurat w dzień powrotu rodziny klijenta z wakacyj, chociaż obiecał przyjść o 2 tygodnie wcześniej. Krawcowa odsyła wieczorową suknię na drugi dzień po balu. Wydawca płaci... o, przepraszam, wydawca nie płaci nigdy. Natomiast tak zwane wytworne panie, sprawiwszy sobie za kilkaset złotych walizę pięknych sukien, dają krawcowej 10 złotych à conto i wyjeżdżają spokojnie na plażę, zostawiając ową wyżej wymienioną mistrzynię igły na lodzie, czyli poprostu na rozgrzanym bruku miejskim. Ach, drzećby z nich pasy! Najpierw te cudne sukienki, a potem żywą skórę. Zasłużyły.

Wydaje mi się, że człowiek kulturalny szanuje w cudzym domu wszystko — nawet drzwi. Tak, właśnie przedewszystkiem drzwi. Zamknięte drzwi, czyli to wszystko, co ma prawo dziać się poza ich osłoną. Czy pamiętają państwo, jak z czwartego piętra kamienicy wychodzą imieninowi goście o godzinie, powiedzmy, 12-tej w nocy. Na schodach tupot jakby stada słoni, gwałt, krzyk, piski, zwłaszcza jeśli jest ciemno, a towarzystwo sobie podpiło. Jeśli weseli goście rozchodzą się partjami, n.p. co pół godziny, to mieszkańcy trzeciego, drugiego i pierwszego piętra nie zmrużą oka przez całą noc. To samo będzie we wszystkich kamienicach, do których owo towarzystwo wraca. Najpierw chichot przed bramą, potem dzikie dzwonienie, potem kłótnia ze stróżem, potem wyścigi na schodach. A że nie zaśnie ktoś chory, albo obudzi się ktoś zmęczony, ach, cóż to kogo może obchodzić?!

A jednak — kiedyindziej — obchodzi. Obchodzi wszystko, obchodzi każdego, i to tak bardzo, że... znowu zatruje życie, chociaż z wręcz odwrotnej przyczyny. Co dzieje się za zamkniętemi drzwiami cudzego domu? Kto czuwa? Kto śpi? Jak, kiedy, poco, dlaczego, jakiem prawem, moja pani, moja pani, widzieliście, słyszeliście?....

Ordynarność i brzydota wścibstwa i plotki była już tylokrotnie wyśmiewana i karykaturowana — nieraz świetnie — że już nie odważam się rozwlekać tego tematu. Zwykle jednak podkreślana bywa szkodliwość plotki dla *oplotkowanego.* Ja natomiast ośmielę się zauważyć, że najszkodliwsza jest plotka dla *plotkującego.* Zbiorą się panie przy ciasteczkach, albo panowie przy pół czarnej i dopiero! A szu-szu-szu—, a sza-sza-sza, a ten z tą, a tamten z tamtą. Iksowski kupił nową marynarkę, to widocznie wziął łapówkę, a Igrekowska zapuszcza włosy, to widocznie ma kochanka, bo przecież

mąż jej lubi krótkie. U Zetów już trzeci dzień z rzędu kapusta na obiad—wącha sąsiadka — uu, widocznie interesy idą źle. „A" wczoraj nastawili głośnik, oo, napewno poto, żeby zagłuszyć jakąś awanturę....

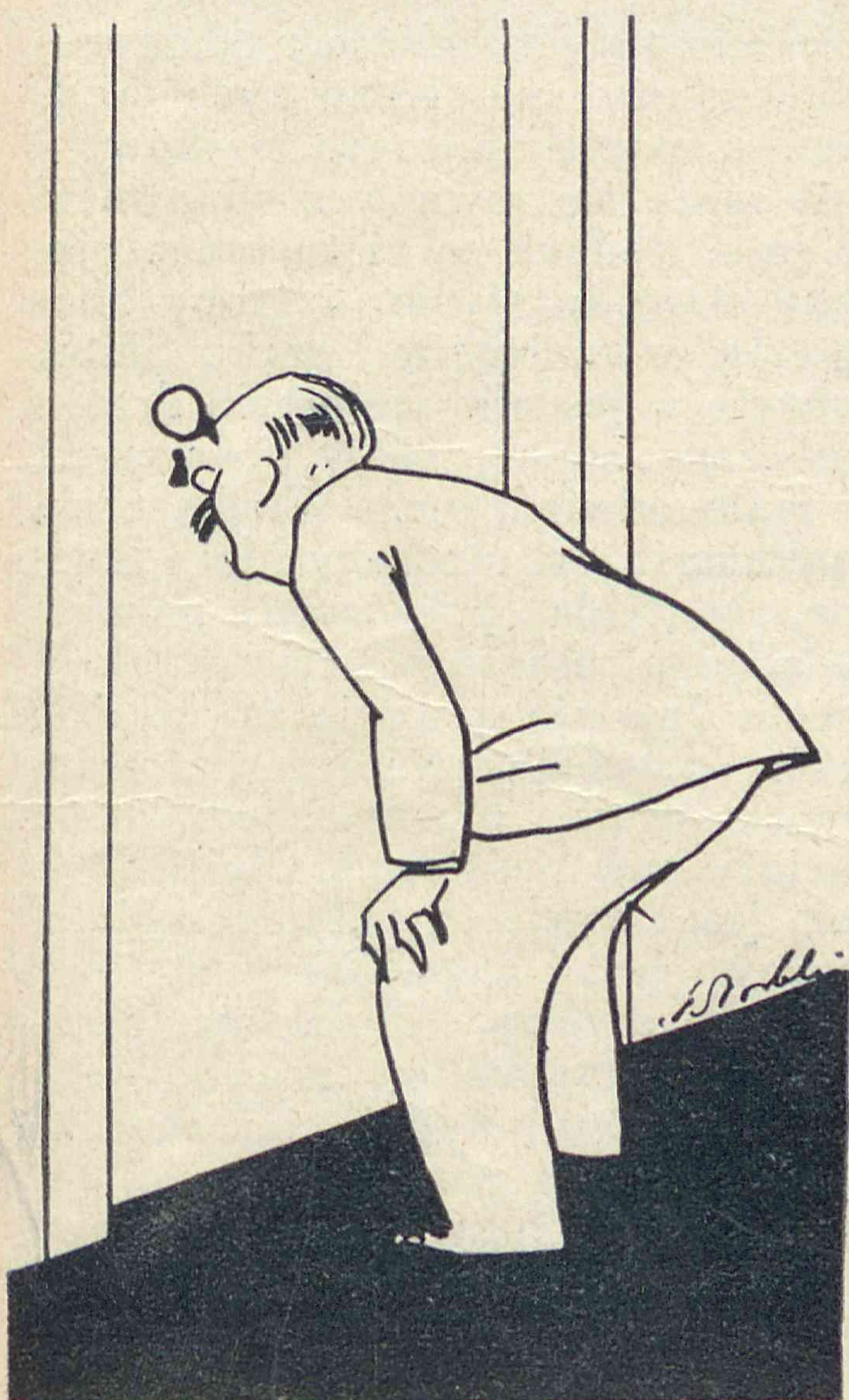
Opowiadają o pewnym plotkarzu, że pewnego dnia życie mu zbrzydło i skoczył na bruk z piątego piętra. Przelatując koło drugiego, zdążył jeszcze zauważyć i stwierdzić ze zgorszeniem: „Aa, u tych Kowalskich jeszcze się świeci w stołowym!"

W tej starej jak świat anegdocie jedna mnie tylko rzecz *nie* dziwi: że *skoczył* z piątego piętra. Nie mógł nie skoczyć. Jakże bo nieznośnie nudne musi być życie, widziane pod kątem cudzego garnka! Życie doszczętnie pozbawione zainteresowań najciekawszą, najponętniejszą pod słońcem rzeczą: *abstrakcją*. I tem cudownem oświetleniem, jakie *abstrakcja daje konkretowi*. Ludzie rozbijają atom, mierzą gwiazdy, stwarzają nowe rytmy wierszy, nowe linje rzeźb, zapuszczają się w stratosferę, szukają nowych metod poznania, nowych kształtów życia!... Dotykają do konkretu, tworzą w konkrecie, ale zapatrzeni są w abstrakcję, wprzęgnięci w jej służbę.

Jakże żałować należy tych, którzy nawet nie podejrzewają jej istnienia i dla których najciekawszą perspektywą jest ta, którą dojrzeć mogą przez dziurkę od klucza zamkniętych drzwi cudzego domu!

D. c. n.

...perspektywa, którą dojrzeć można przez dziurkę od klucza...



ŚWIAT KSIĄŻKI

„Czarni i Biali" J. Giżyckiego, Wyd. Gebethnera i Wolffa

Reportaż Jerzego Giżyckiego z włóczęgi po zachodniej Afryce francuskiej posiada tę wyższość nad większością naszych książek podróżniczych, że autor kierował się w zbieraniu wrażeń dalekoidącym subjektywizmem nieprzysłoniętym przez podporządkowywanie obserwacji do swego pola widzenia. Niemal wszyscy polscy turyści, których ciekawość lub też przypadek zagnały po za granice standaryzowanej cywilizacji, głównie zajmują się analizą wewnętrznych reakcji, wywołaną wpływem napotkanych zjawisk, aniżeli bezstronną obserwacją i rzeczowem ułożeniem faktów w ten sposób, by wnioski wypływały same przez się. Tego u Giżyckiego niema. Włócząc się przez kilka lat z aparatem filmowym po Afryce, bez poprzedniego przygotowania naukowego, uniknął w „Czarnych i Białych" niepotrzebnego balastu geograficznego, czy statystycznego, a natomiast wyświetlił dokonane zdjęcia na pozytywy słowa.

Drugą, bardzo wielką zaletą tej książki jest absolutna bezstronność antropologiczna. Giżycki nie zbliża się do czarnych braci z rasową butą człowieka białego i całym balastem pseudocywilizacji, wykazującym najczęściej stuprocentowe barbarzyństwo europejskich „kulturträgerów".

Pogardliwa i obelżywa nazwa „kulturträger" zjawiła się w międzynarodowem słownictwie na kilka lat przed wojną, podczas zaborczego i gwałtownego cywilizowania Kamerunu przez niemców. Barbarzyństwa i zbrodnie, dokonywane wówczas na nieszczęśliwych czarnych, poruszyły do żywego opinję ówczesnego kulturalnego świata. Wkrótce potem przyszła wojna, potworności której zagłuszyły krzywdy murzyńskie. Przeglądając książkę Giżyckiego, dochodzi się do wniosku, że import z Europy najgorszych składników z życia, jako „błogosławieństwa cywilizacji", nie był wyłącznie atrybutem niemieckim, ale jest właściwie niszczycielskim elementem, związanym z rasą białą. Fragmenty kolonjalne, jakie zebrał nie zawodowy etnograf, lub literat, lecz operator filmowy, są ciężkim i trudnym do obalenia aktem oskarżenia, skierowanym przeciwko zagadnieniu kolonizacji wogóle, a w danym wypadku przeciwko francuskiej polityce kolonjalnej.

Koloniści francuscy w olbrzymim procencie to ludzie pozbawieni kardynalnych zasad etyki, cierpiący na elephantiasis rasowego szowinizmu, wywołujący wśród ludności afrykańskiej o wiele większe spustoszenie od żółtej febry, śpiączki i niezliczonych pasożytów dżungli. Przekupstwo, najstraszliwszy wyzysk, bezczelne kradzieże, sankcjonowane słusznością człowieka białego, okrucieństwo, bezduszny biurokratyzm, narażający rząd francuski na miljonowe straty, a przedewszystkiem nienawiść, oto przykazania wypisane na sztandarach polityki kolonjalnej.

„Błogosławieństwo cywilizacji" niesie czarnym ludom zagładę i zniszczenie, nie dając w dodatku żadnych korzyści kolonistom, którzy w amoralnej atmosferze, znajdującej ponad to potężnego sprzymierzeńca w klimacie, sami ulegając szybko gangrenie, zakażają nią tubylców. Niestety, stwierdzić należy, że w niszczycielskim tym pochodzie biorą także udział misje wszystkich wyznań, uprawiając niemniej zaborczą politykę wyzysku i deprawacji duszy murzyńskiej. Obserwacje poczynione w tym kierunku potwierdza Giżycki opinjami tak poważnych afrykologów, jak Gallieni, G. Hardy, misjonarz Franzer i inni.

Autor „Czarnych i białych" po kilku latach bezpośrednich obserwacji, nie poddając się zewnętrznym sugestjom, obalił szereg kłamstw o bezwartościowości murzynów, rozsiewanych wśród łatwowiernych europejczyków. Przysłowiowe lenistwo, niechlujstwo, głupota są raczej hasłami propagandy kolonjalnej, aniżeli rzeczywistością. Oto, co pisze Giżycki: „Murzyn, gdy ma wodę, jest czysty. Jest wzorem czystości w porównaniu z przeciętnym europejskim wieśniakiem. Pracuje zaś z ochotą, gdy pracuje dla siebie, gdy praca daje mu pozytywne rezultaty. Czy można się dziwić, że mozolący się pod batem na plantacji murzyn nie oddaje się swej pracy z entuzjazmem?"

Temu nie można się dziwić, iż za pomocą biernego oporu mieszkańcy Afryki bronią się przed zakonspirowanem, lecz istotnem niewolnictwem kolonjalnem. Niewolnictwo to w całej pełni istnieje, mimo pozornej walki z handlem ludźmi, prowadzonej przez rządy europejskie. Nie istnieją przetargi. Natomiast forma niewolnictwa przeobraziła się w problem „cywilizowania" ras czarnych.

Z kart reportażu Giżyckiego przebija prawdziwie zrozumiana i stosowana miłość bliźniego. Autor przyjrzawszy się dokładnie stosunkom kolonjalnym definjuje jako symbol barbarzyństwa człowieka białego. I to jest niestety prawdą.

„Czarni i biali" są pisani żywym i barwnym językiem.

Również dobre są zdjęcia filmowe, których kilkanaście zamieszczono w książce, starannie wydanej przez księgarnię Gebethnera i Wolfa. Szkoda tylko, że interesujący i godny przeczytania reportaż z dżungli afrykańskich zeszpecono okładką T. Piotrowskiego. Jest czarna, jak skóra murzyńska, a brzydka, jak biali „kulturträgerzy". *J. S. Wroczyński.*

TOKIO — WSCHODZĄCE SŁOŃCE

Centralna dzielnica Tokio mogłaby się śmiało znajdować w każdem mieście — amerykańskiem raczej niż europejskiem — nie różniąc się niczem, gdyby nie strój i wygląd publiczności i pewien odmienny nieco charakter sklepów. Ale im dalej od centrum, tem bardziej zmienia się charakter ulic, monumentalne budowle ustępują miejsca typowym najczęściej drewnianym domkom japońskim i długie ulice biegną promieniami na wszystkie strony, tak nieskończenie długie i tak indentycznie do siebie podobne, że wzrok próżno stara się uchwycić jakiś szczegół, jakiś punkt oparcia, któryby pozwolił, jak nitka Arjadny, odnaleźć to miejsce. Niezrozumiałe dla Europejczyków hieroglify, jednostajność domów, sklepów, czasem w głębi ogrodu jakaś świątyńka, podobna do setek innych, z zapaloną latarnią kamienną, czasem park jakiś czy piękny pałac prywatny lub wielki gmach publiczny. Później już, znacznie później, jakiś jeden szczegół charakterystyczny wrzyna się tu i ówdzie w pamięć. Tokio jest najbardziej trudnem do orjentacji i odnalezienia czegokolwiek miastem. Ulice — poza Ginzą — nie mają właściwie nazw — noszą je tylko dzielnice i części dzielnic, pewne kompleksy zabudowań, t. zw. „compounds", niektóre place i punkty skrzyżowania ulic. Zresztą olbrzymie, kilkukilometrowe nieraz przestrzenie w mieście i niezmierna taniość taksówek sprawiają, iż piechotą chodzi się minimalnie. Riksze już nie istnieją prawie w Tokio, znaleźć je można jeszcze natomiast na prowincji. Również nie zobaczy się konia w Tokio, jedynie chyba w wojsku.



Produkcja artystycznych lalek japońskich



Gejsza japońska



Nowoczesne Tokio — Teatr Takarazuka

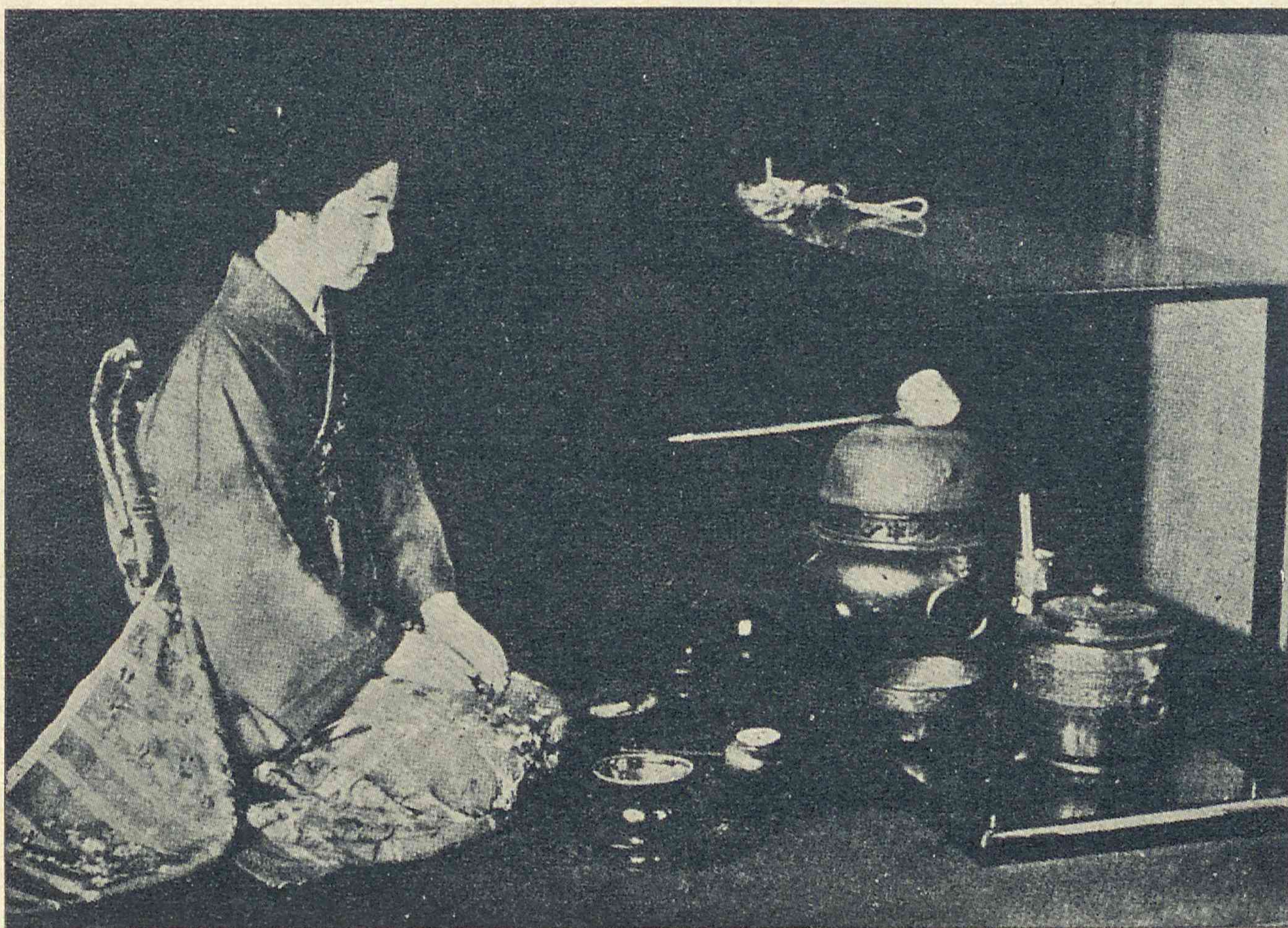
*

Tokio nie jest miastem, gdzie szukać należy najciekawszych świątyń i najpiękniejszych parków i nie może się równać z cudownem Kyoto. Jednak są i tu także piękne stare świątynie i groby Shogunów w rozległym parku Shiba, ukryte w gęstwie stuletnich drzew, milczące, senne, jakby opuszczone i mało odwiedzane. Wielką czcią natomiast jest otoczony Meiji Shrine, świątynia poświęcona pamięci wielkiego cesarza reformatora, któremu Japonja zawdzięcza, że dziś jest potężnem wszechświatowem mocarstwem, nie zaś jednem z azjatyckich państewek. Meiji Shrine, jak zwykle świątynie shinto, surowa jest i naga. Szary, stalowy koloryt drzewa, dachówek, rzeźbionych ornamentów i wyniosłego Torii (bramy) nadaje jej charakter prostoty i powagi. Ku czci cesarza Meiji poświęcone jest również muzeum współczesne, raczej mauzoleum, zawierające siedem-

dziesiąt kilka obrazów ilustrujących historję cesarza, dzieło jego reform, wojny i zwycięstw. Obrazy te, a raczej freski naiwne w fakturze są ciekawe jako pierwsze wysiłki, niezawsze udatne, zbliżenia się do rodzaju sztuki europejskiej. Są one przytem interesujące jako dowody wielkiego przywiązania i kultu dla osoby cesarza; każdy fresk ofiarowany jest przez inną osobę.

Część parku Meiji, zamknięta zwykle dla publiczności, dostępna jest dwa razy w roku za specjalnemi zaproszeniami — wiosną, kiedy kwiat wiśni pokrywa różowym obłokiem drzewa, i latem, gdy kwitną irysy i nenufary. Przypada to w końcu czerwca. O bogactwie tych kwiatów trudno mieć pojęcie, gdy się ich nie widziało. Gdy u nas znane są trzy, cztery odmiany irysów — tutaj na długiej, krętej łączce, obramowanej stokami pagórków o najpiękniejszych drzewach, zakwitają 84 gatunki irysów. Od najgłębszego aksamitnego fjoletu i ciemnego amarantu aż do najbledszych liljowych, blado - różowych, perłowo - błękitnych tonów — cała gama kolorów tych prześlicznych wytwornych kwiatów, o kształtach podobnych nieraz do orchidei. Każdy wydaje się najpiękniejszy, a tysiące ich kwitną w ogrodach Meiji. O tym samym czasie na stawach Meiji zakwitają nenufary — różowe, purpurowe, amarantowe gwiazdy na tle płaskich zielonych liści. Mnisi ze świątyni Shinto w pięknych strojach biało - błękitnych czynią honory tego czarownego ogrodu, ofiarowując gościom herbatę i słodycze.

Jeśli obejrzeć jeszcze Ueno Park ze skromnem cesarskiem muzeum, oraz pawilonami wystaw, które często się zmieniają, świątynie Asakusa i Sengakuji — to na tem wyczerpią się właściwie osobliwości Tokio godne zwiedzania. Szereg świątyń, rozrzuconych po olbrzymiem mieście, nie przedstawia nic szczególnie interesującego. Klejnoty architektury japońskiej starożytnej znajdziemy gdzieindziej. Tak jak w Hiszpanji, gdzie stolica jest wspaniałem współczesnem i mało ciekawem miastem, a o parę godzin od Madrytu znajdują się najpiękniejsze zabytki i cuda architektury, tak i w Japonji z Tokio trzeba pojechać do pobliskiego Nikko, Kamakury, Nagoya, Hakone, wreszcie do dalszego Kyoto i Nary, aby odnaleźć starą Japonję, piękno jej subtelnej sztuki, urok prześlicznego pejzażu.



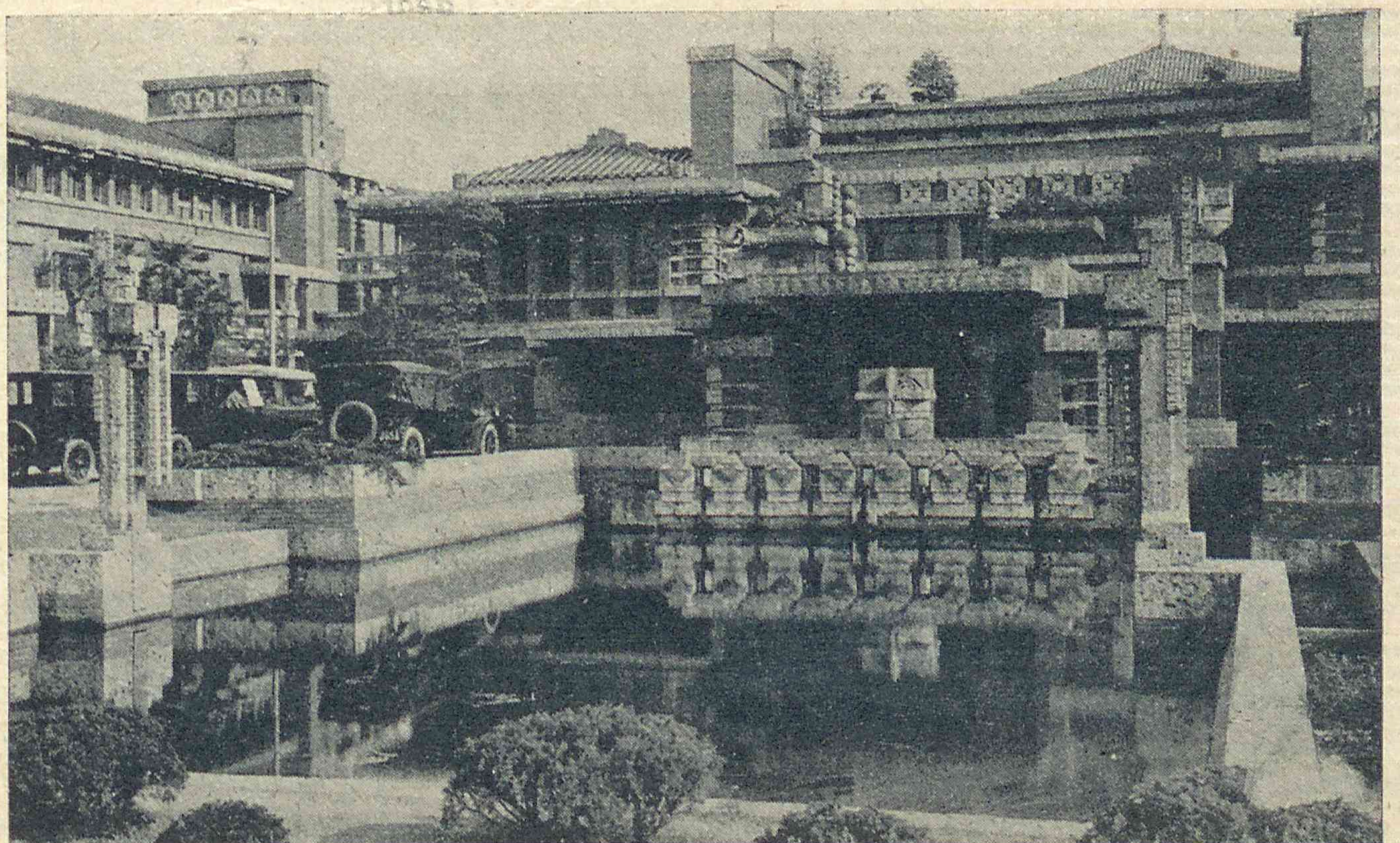
Ceremonjał przy herbacie

30 kilometrów autostrady, 40 minut autem czy koleją i jesteśmy w Yokohamie. Właściwie niezmiernie trudno ustalić linję demarkacyjną — gdzie kończy się Tokio a zaczyna Yokohama: wciąż osiedla, fabryki, ulice, domostwa — ledwie że chwilami nieco rzedną.

I znów rozmach niebywały—pałace z granitu i żelazobetonu, olbrzymie gmachy dworców kolejowych, banków, kompanji okrętowych i wielkich domów handlowych, ogromny ruchliwy port, wspaniałe wybrzeże morskie pełne zieleni. Yokohama została cała odbudowana z gruzów po straszliwem trzęsieniu ziemi w 1923 —powstała jak świetny feniks z popiołów. Znów stajemy pełni podziwu dla niezmiernych zasobów energji i pracowitości tego ludu. Toteż nawet krótkie i pobieżne zetknięcie się z Japonją zmusza nas do skrystalizowania tego pierwszego wrażenia: naród, który w ciągu 66 lat zdołał poczynić tak imponujące postępy na polu cywilizacji współczesnej, dogonić starą Europę i młodą Amerykę, który potrafił jednocześnie zachować cały wdzięk swoistej starej kultury, zachować przywiązanie dla tradycji, głęboki i ofiarny patrjotyzm, gorące umiłowanie ziemi ojczystej — naród ten zasługuje na głęboki podziw i prawdziwy szacunek.

Ad. Ka.

Tokio — Hotel Imperial



MELCHJOR WAŃKOWICZ

„ŚWIĄTKI I OBRZĄDKI"

(z powieści „Szczenięce lata", która ukaże się we wrześniu r. b.).

Kiedy przychodzą święta, w czasie których ma się cieszyć „każda żywioła" (każde stworzenie), cieszył się dom nowotrzebski pospołu ze służbą.

Podłoże katolickie ludu stwarzało więź istotną, braterstwo krwi.

W ojcowych Kalużycach, wyrosłych jako placówka kresowa, na szlaku Smoleńskim, w bramie Dźwino-Dnieprowej, nad Berezyną, pośród ludu prawosławnego, inaczej, bardziej, *manu militari*, bardziej feodalnie, układało się życie tamecznego dworu.

Tu, w Kowieńszczyźnie, żyliśmy więcej „po domowemu"; wszak od krzyżackich czasów nikt nas „nie ruchał" i życie dworu było przetransponowanem na wyższy poziom życiem wiejskiej chaty.

Z jednego byliśmy gruntu.

To też w dzień Wilji, zaraz po wieczerzy wigilijnej państwa przy tymże stole w stołowym pokoju zasiadała służba. Na miejscu babki prezydowała kucharka Kaźmierzowa i garbaty „gospodarz" (włódarz) Laskowski.

Kiedy się to działo w stołowym, my, dzieci, siedzieliśmy już w „pierwszym pokoju" przy bakaljach, najedzeni jak bąki. Jakże bo! Wilja składała się z ośmiu-dwunastu potraw i mimo solidne i uważne objadanie się, iżby na wszystko miejsca starczyło, miejsca tego nie starczało.

W pośrodku stołu pofalowanego bielą obrusa, na pękach siana (ze źdźbeł jego wróżyliśmy, czyje życie dłuższe), stawiano tak zwaną „kucję" — ogromną salaterę poczwórną, w której mieściły się cztery zasadnicze potrawy wilji, cztery paskudztwa ku tradycji przyrządzone, których nikt nigdy nie tykał. Jestem przekonany, że „kucja" sięgała swem pochodzeniem zamierzchłych czasów pogańskich.

Był tam kisiel owsiany, wyglądający jak brudny klajster, rozdęte ziarna gotowanej pszenicy, groch i jęczmień, oraz mleko makowe.

Babka tylko, jako pani domu, musiała każdej potrawy spróbować i podlać „sytą" (miód z wodą), bo inaczej nadchodzący rok nie dałby dostatku. Krzywiła się, zwłaszcza przy kisielu, ale mus to mus.

A kiedy już i państwo i służba byli najedzeni, roztwierano szeroko wielkie szklane drzwi olbrzymiego salonu. Na tle ogromnej stuletniej agawy (która — właśnie co rok oczekiwano — że zakwitnie „raz na sto lat" i ze „strzałem jak z armaty") stała większa jeszcze choinka.

Otrzymywaliśmy prezenty, wyrażając oficjalną radość (wiedzieliśmy i widzieliśmy, dzięki wzorowemu wywiadowi, już na kilka dni wcześniej, co otrzymany); raz nawet, dzięki zdradzie lokaja, zdołałem wykraść z szafy i popukać sobie z flinty, którą później uroczyście otrzymałem), a potem zaczynało się objadanie drzewka.

Hej! — Bo drzewko nasze nie było ani takie, ani siakie. Ani zbytnie w błyskotki kupne, sztuczne śniegi, niemieckie djabełki, aniołki, szklane kulki i inne wykrętasy, ani Boże broń, stylizowane na ludowo i na „polsko".

To było poczciwe praktyczne drzewko, jakie w Polsce stawiano (jeśli stawiano) przed trzystu laty, kiedy żadnych tam syntez polskości i ludowości od święta wysentymentalniać nie trzeba było, bo skrzypiał niemi każdy żóraw każdej studni.

Drzewko więc było w dary konkretne zasobne i chodzić mogłeś koło niego, bracie, trzy dni i objadać się gruntownie.

Poza świeczkami i lepionemi w domu łańcuchami z różnokolorowego papieru wszystko tam można było w gębę włożyć. Od góry do dołu czerwieniały „pepinki" — małe kolorowe jabłuszka, zawieszone na różnobarwnych włóczkach. Równie obficie wisiały figi, pierniki, złocone i srebrzone orzechy i duże cukierki „kri-kri". W papierowych koszyczkach znajdowałeś, człowieku, malagę (suszone winogrona), migdały, daktyle i t. d. Doskonałości te na miejscu zrywało się i rozdzielało między parobczańską dziatwę.

Teraz od Świąt szedł jeden ciąg festynów aż do Nowego Roku. Każde z nas przywoziło przynajmniej po dwóch kolegów, lub koleżanki. Korepetytorzy, którzy latem z nami dukali, też przyjeżdżali i zwozili kolegów. Do nauczycielek też zjeżdżały jakieś przyjaciółki — stare panny — przyjeżdżały z matkami i ciotkami dawne nauczycielki i bony, z któremi zachowywały się serdeczne stosunki: namykały się dawne rezydentki, zamienione ongiś z sąsiedniemi dworami po jakichś awanturach do czasu na inne, ściągali z rodzinami wszyscy „klienci domu" — ksiądz, adwokat, doktór, wuj Sewerutek, przyjeżdżało z Wodoktów trzech osiłków, synów rządcy.

Zawiązywały się tam flirciki platoniczne, wzdychania, utarczki babskiego i męskiego obozu, przeplatane tradycyjnemi psikusami, jak słanie prześcieradeł na prętach leszczynowych zamiast na ramie z materacem, podczas gdy przy łóżku stawiano nieckę z wodą, zaszywanie w mankietach rękawów nocnych koszul i wsypywanie w nie mąki; płeć męska wywzajemniała się straszeniem, co dawało pole niewiastom bać się, a „bać się" pojmowano jako nieodłączny atrybut kokieterji i kobiecości: więc wieszaliśmy, lub kładli na łóżka w damskich pokojach manekiny, imitujące trupy, więc ukazywaliśmy się szarą godziną w bieli prześcieradła, brzękaliśmy po strychu łańcuchami, wyliśmy jako wilki w zagajach. Były to figle, że tak rzeknę, rytualne, uświęcone tradycją i nie karalne. Aż dziw, że te wszystkie dryblasy tak powtarzały dowcipy pokoleniami.

Taki oto we dworze całym od Bożego Narodzenia do Nowego Roku gwałt panował a skweres; następowała mobilizacja służby domowej, to znaczy dziopy wiejskie odrabiały dniówki robocizny, tłukąc talerze i szklanki, a nad tym całym rozedrganym harmidrem rozpięte było pytanie: „gdzie się ich wszystkich położy"?

— Babciu, gdzież go jeszcze zmieścimy? — pytają wnuczki babki, która czyta list Józia Mickiewicza, zwiastującego swój przyjazd na wakacje (ów Józio jest to pięćdziesięcioletni stary kawaler).

— W małym garnuszku kaszka smaczniejsza — odpowiada ze szczerem zadowoleniem babka.

Oba fortepiany grzmiały do upadłego i każda klasa gości bawiła się po swojemu: małe mikrusy były strzęsione do jednego pokoju, kilkoletniejsze w różne tam „cztery kąty a piec piąty" bawiły się w stołowym pokoju, a młodzież w salonie tańczyła nietylko walca, oberka i mazura, ale i krakowiaka, *pas d'Espagne*, polkę węgierkę, *pas de patineur* i t.d.

Panie starsze kwokały na kanapach, panny poniektóre znikały na pogwarki w dziewiczych czeluściach

domu, panowie rżnęli przy trzech, czterech stolikach i uroczystych świecach w karty, ja zaś jeden, jak wilczek, czułem się do żadnej z tych grup nieprzynależny i przeciw wszystkim „sprężony".

Rzecz w tem, że bracia, starsi odemnie o piętnaście i dziesięć lat, za życia rodziców jeszcze zdołali się opierzyć, ja zaś jedyny „Mińczuk" skazany byłem na wegetację w tych babskich Nowotrzebach.

Fantazję chłopca pobudzały opowiadania o rycerskim żywocie „męskich" Kalużyc, gdzie chłopak od szóstego roku życia nie rozstawał się z koniem i strzelbą, gdzie bracia moi byli postrzelani w różnych wypadkach, głowy mieli porozbijane przez dzikie ogiery, gdzie stada wilków podchodziły pod dwór; gdzie w psiarni, oprócz doborowych psów myśliwskich hodowały się puhacze; na kuchni żóraw; w drwalni swojskie niedźwiedzie.

Nasłuchałem się biadań najstarszego brata, Czesława, późniejszego znanego myśliwego w Mandżurji i w Afryce, że „zbabieję" i chłopięcą duszę w całkowitem władaniu trzymał nieustający zaciekły bunt przeciw tym słodkim nabożeństwom majowym, odprawianym ze służbą w woni konwalji, przeciw tym tam miodopłynnym mądrościom drobnej szlacheckiej burżuazji kowieńskiej, kałamaszkami w robocze konie truchtującej do parafjalnych kościołów.

Ot siedziało to wszystko po świątecznych kanapach dookoła okropnie brzydkiej lampy naftowej na wysokiej porfirowej kolumience.

Wziąłeś, człeku, mufkę na wujową laskę i zaimprowizowałeś z ciemnej sieni na jarzący się „pierwszy pokój" — rzymską katapultę.

Wali się wysoka lampa na czcigodne robrony. Po woskowanej posadzce płynie morze ognia. A kiedy akcja ratunkowa przyszła ku pomyślnemu końcowi, ciotka z wyrzutem:

— Melaś, czwartą lampę w tym roku tłuczesz!

Podrzut głowy. Obawa kary. Ale zmniejszenie laurów...

— Piąta, ciociu — mówię cicho.

— Ale ty nienaumyślnie, moje dziecko, przypadkiem? — insynuuje babka.

Milczę. Cóż powiem?

Goście dowcipami starają się zatrzeć niemiłą sytuację.

Strych i dach lubiłem pasjami, zimą bowiem, w braku lasu, tam znajdowałem namiastkę nieznanych krajów, polując ze „Smith Wessonem" w ręku na zdziczałe koty i dokonywając odkryć. Między innemi na strychu, w starej skrzyni pełnej papierów, znalazł się skrypt z własnoręcznym podpisem króla Zygmunta Augusta (16 czerwca 1570 r.), dający Nowotrzebom przywilej na karczmę, — skrypt pisany po białorusku, rozpoczynający się od słów *„bił nam czołom czasznik nasz"*.

Aż wreszcie ta długa, ciężka zima przechodziła, a z nią moja niewola. Zimą w babskich Nowotrzebach dzieciom nie wolno było wychodzić, aby się nie przeziębiły. U progu wolności stały Święta Wielkanocne.

Jak Wilja miała swoje tradycyjne potrawy, tak i Wielkanoc miała swoje niezbędne minimum, którego nie przyszłoby do głowy nigdy nikomu zmniejszyć, choćby czasy były najcięższe.

Musiała być ogromna głowizna z jajkiem w pysku, pieczone prosięta, gotowana szynka — przysmak, który mieliśmy tylko na Wielkanoc, bo przez cały rok jedliśmy tylko wędzone szynki. Były, wstyd przyznać się, wszelkie rodzaje zwierzyny, bo Nowotrzeby pojęcia nie miały o ochronie zwierzyny, w lasach naszych polował, kto chciał, i babka od kłusowników kupowała wszystko o każdym czasie. Były to złe tradycje matrjarchatu — babskich rządów czterech pokoleń.

Ciasta miały swoją hierarchję. Musiał być „dziad", „cygan", „prześcieradło", nie mówiąc o babkach-olbrzymach i sękaczu z dwustu jaj.

Pośrodku wszystkiego stały dwie

W praktyce było jeszcze gorzej. Niższe b... j-
ne u... ń-
ski... dla
deko... i tło
dla wa... W
mi... y-
ła ... zo-
wa... acje
prze... wotności i rozwoju —
to największe ułatwienia, a niewąt-

arki z rzerzuchy, w które wstawiane były baranki z cukru.

Dla czeladzi ustawiano wielkiego barana z masła z oczami ze śliwek suszonych.

Od rana nie jadło się nic, i poprzednich dni mało. Modlitwy trwały aż do południa, jak zwykle, ze służbą.

Aż kiedy buchnęło: „Wesoły dziś dzień nam nastał"... wiedzieliśmy, że otworzą się drzwi, wjedzie taca z ćwiartkami jajek, któremi babka podzieli się ze wszystkimi, znowu nie szczędząc maksym i napomnień. Poczem służba pójdzie do swego stołu, a my do swego.

Babka rozpoczyna, biorąc na talerz kawałek „głowizny", wycięty koło ucha.

Panowie skupiają się przy wódkach. My szmyrgany z talerzami i krajemy, co chcemy.

Czytałem o takiej uroczystej uczcie u Eskimosów, gdzie pierwszy kąsek, ociekający tłuszczem, bierze do ust uroczyście patrjarcha rodu.

Domu nowotrzebski! Na którym też byłeś kilometrze między jurtą eskimoską a „lunchem"?

„CO NOWEGO, CO NOWEGO?"

Wracamy z wakacji, i drżymy z ciekawości: co się będzie nosiło? Jak się mamy ubrać?

Pewników w tej chwili jeszcze niema. Ale są już prognostyki, przewidywania i różne prawdopodobieństwa. No, a choćby ich nie było — to przecież nie sposób chodzić po mieście w końcu sierpnia w panamie i płóciennej sukience— więc co mamy włożyć?

Przedewszystkiem kostjum. Właśnie ten wiosenny jest jeszcze doskonały, z płaszczykiem troisquarts albo z pelerynką. Naturalnie trzeba do niego pomyśleć o kapeluszu, bo nic się tak prędko nie starzeje, jak kapelusz. My w Warszawie nawet nie mamy o tem pojęcia, ale w Paryżu naprawdę moda na kapelusz trwa najwyżej miesiąc. Tylko że tam bogate kobiety mają na tak częste zmiany pieniądze — a niebogate mają tę cudowną zręczność w palcach, która sprawia, że każda francuzka ubrana jest za trzy grosze a szykownie.

Nie mogąc tak często zmieniać nakrycia głowy, jak paryżanki — musimy z konieczności dobrze się zastanowić, co sprawić, aby potem nie było płaczu i zgrzytania zębów.

Do szaleństwa są modne berety. Niepodobne wcale do zeszłorocznych, duże, malownicze, ocieniające policzek albo zasłaniające czoło i oczy — robią „do twarzy" i młodo. Beret sprawimy więc natychmiast — będzie z czarnego aksamitu, dość suto namarszczony, ozdobiony z przodu maleńką kokardką. Tylko prosiłabym uprzejmie, żeby mi się w tym berecie nie pokazywać na oczy, idąc do biura o dziewiątej rano albo „do miasta", po gospodarskie sprawunki, w dzień deszczowy.



Beret aksamitny nasunięty na czoło, ozdobiony piórkiem. Nowe uczesanie odsłania ucho

Wolno go włożyć poczynając od godziny drugiej popołudniu — a wolałabym nawet, od piątej. Niema widoku bardziej bolesnego, jak „wystrojenie się" od świtu w stylu wizytowym. Jest to gorsze przestępstwo w dziedzinie szyku, niż pójście do teatru w podróżnym płaszczu.

Beret czarny aksamitny nosić panie będą w tym sezonie do każdej sukni — więc można go prezentować i na popołudniowym spacerze, i na wizycie, i w kawiarni, i w teatrze, i na brydżu i w dancingu. Uniwersalne nakrycie głowy zdejmie nam właśnie z głowy wiele kłopotów.

Do kostjumu jednak, w którym chodzić będziemy od rana do popołudnia — najodpowiedniejszy będzie filc, dobrany tonem, nieco ciemniejszy od całości, najlepiej bronzowy, w kolorze ściśle odpowiadającym torebce, rękawiczkom i bucikom. Główka płaska (niestety gumeczki z tyłu pod lokami stają się niezbędne) — nasunięty dobrze na czoło, rondo nieduże — rzuca ładny cień na oczy, ma dobre sportowe zacięcie i jest odpowiedni na wszelkie „skromne okazje".



Beret czarny aksamitny z małą kokardką z przodu

Kiedy już mowa o głowie — sygnalizuję zmianę najważniejszą— najbardziej rewolucyjną. Zmieniły się uczesania! Nosić będziemy grzywkę! Taką leciutką, jak mgiełka, kokieteryjnie zafryzowaną, spadającą aż do brwi. Czoło będzie jeszcze tolerowane przy pracy, przy sportach, i w godzinach rannych. Popołudniu i wieczorem mamy stać się bardziej kobiece — a tajemniczości i uroku ma nam właśnie dodać dawno wyklęta grzywka.



Do kostjumu — filc, o sportowem zacięciu. Główka b. płaska.

Włosy na skroniach będą gładko zaczesane ku tyłowi, uszy odsłonięte zupełnie, a z tyłu zamiast zbanalizowanych już i opatrzonych do obrzydliwości loków na szyi —zaczeszemy włosy ku górze, podepniemy nawet agrafą, i zwiniemy na samym czubku głowy w kilka miękkich pukli. Niby „kok" naszych babek mniej więcej. Z profilu linja zbliżona do uczesania greckich posągów—szlachetna i majestatyczna — uwydatnia piękno karku i ładny kształt głowy, o ile go kto posiada.

Ale wracajmy do gałganków...

Niezbędna nam jest odrazu po powrocie suknia „do wszystkiego" — tak zwana przez francuzki „petite robe". Jeżeli pani posiada z ubiegłego sezonu gładką czarną sukienkę wełnianą, niebardzo zniszczoną, to będzie z niej jeszcze pociecha. Trzeba ją tylko troszeczkę zmodernizować — i przyda się doskonale na bardzo wiele użytków.

Cóż z nią zrobimy? Przedewszystkiem odrzucimy precz tę kokardę, która ją „zdobiła" pod brodą. To się już zanadto obnosiło. Stanik ma być możliwie najgładszy, narazie orgje letnich żabotów i organdyn także nam się przejadły— więc jeżeli pani posiada starą, wielką broszkę po prababce, to proszę zapiąć swoją czarną sukienkę taką broszą —i będzie właśnie to co trzeba. Kwadratowe bufy u ramion proszę usunąć — rękawy wąskie i długie będą najlepsze. Klosze u spódnicy, jeżeli były duże, ściąć należy koniecznie. Przy sukniach mało strojnych kloszy już w tym roku nie będzie — suknie stają się tak wązkie, że każdą prawie spódniczkę trzeba rozcinać na dole, aby móc swobodnie wejść do dorożki czy tramwaju.

TRĘBACZ RATUSZA POZNAŃSKIEGO

W Muzeum Miejskiem, w Poznaniu, jest zakątek najbardziej dawny, jakby najwięcej w muzealnej ciszy zastygły, zakątek „starego Poznania". Jest tu pręgierz, lokalny zabytek z r. 1535, przeniesiony z przed ratusza, gdzie stał do niedawna w sąsiedztwie studzienki Prozerpiny; są modele dawnego ratusza, narzędzia katowskie, miecz i topór, laski sołtysów, ryngrafy, insygnia burmistrzowskie, chorągiew miejska z r. 1802 i wiele innych, szacownych, starych zabytków.

Wśród nich zwracają uwagę w kilku szeregach umieszczone trąbki pożarnicze, oraz ciekawy okaz sztuki blacharskiej: wielka tuba alarmowa (1,60 mtr. dł.), którą trębacz ratuszowy ogłaszał pożary w początkach XIX stulecia.

Eksponat ten przywodzi na myśl historję pożarów miasta Poznania od XIV wieku począwszy. Akta miejskie zawierają wzmianki o tych klęskach żywiołowych i to z datami; a więc rok 1366, 1385, 1447, 1464, 1536, 1580 i t. d. W roku 1656 Szwedzi spalili wszystkie przedmieścia, a później osady, dziś do Poznania włączone: Chwaliszewo, Ostrówek, Miasteczko, ginęły w pastwie płomieni i już nie podnosiły się z gruzów. A przecież akcją zapobiegania pożarom w Poznaniu jest bardzo dawna, sięga połowy wieku XV, kiedy to najdawniejszym, znanym nam dokumentem wprowadzono normy prawne, regulujące budownictwo miasta (statutum de municione et muro edifficiorum construccione). W tym samym okresie powstają przepisy dotyczące obrony przeciwpożarowej. Statut powołuje wszystkich obywateli do gaszenia ognia, a właściciel objektu, który podległ pożarowi, zobowiązany był pożar „okrzyczeć". Przepisy takie, jak pospolite ruszenie do pożaru, usiłowanie zlokalizowania go i obowiązek głośnego zawiadamiania o pożarze, istniały i w innych miastach Polski. Mieszczaństwo broniło się przed klęską pożaru głównie za pomocą cechów. Średniowieczne statuty cechowe nie zawierają jeszcze przepisów na wypadek pożaru. Jednakże w XVI i XVII stuleciu znajdujemy przepisy odnośne w każdym niemal statucie cechowym i w każdej księdze brackiej.



Tuba pożarnicza (Muzeum Miejskie w Poznaniu)

Ważniejsze jednak były przepisy budowlane. Król Zygmunt III reskryptem z dnia 3 lipca r. 1590 zakazywał odbudowywać domy drewniane, a żądał budowli murowanych. Niemniej jednak upadek Poznania w wieku XVII i XVIII powodował wznoszenie coraz częstsze budowli drewnianych, co znowuż sprzyjało szerzeniu się klęsk elementarnych, zwłaszcza około końca wieku XVIII, gdy powoli zatracała się stara ordynacja przeciwpożarowa.

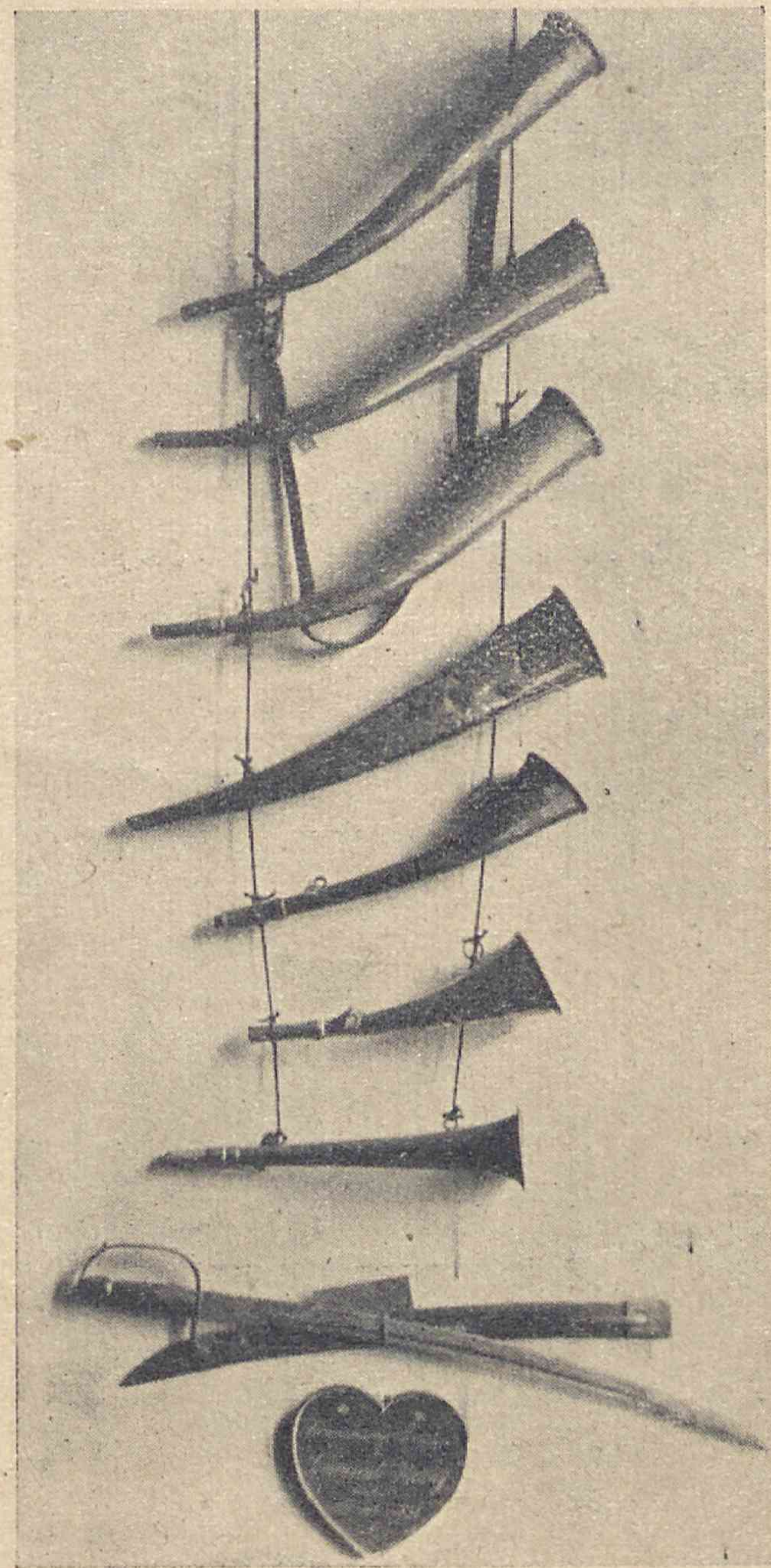
To też Komisja Dobrego Porządku wydała w roku 1779 nową ordynację, przepisując każdemu cechowi odpowiednią ilość przyrządów ratowniczych.

Z chwilą upadku Rzeczypospolitej następuje długotrwały okres ciężkich klęsk ogniowych dla całej Wielkopolski, gdyż dawna, polska ordynacja przeciwpożarowa przestała obowiązywać, a władze pruskie nie dokładały bynajmniej starań do ubezpieczenia Poznania.

Z tego okresu zanotować należy jeden z największych pożarów, 15 kwietnia 1803, który zniszczył blisko 300 domów w Poznaniu. Przeszło 7000 osób pozostało wówczas bez dachu nad głową. Mimo tak wielkiej katastrofy władze pruskie nie zabezpieczyły i teraz miasta. Po szeregu dalszych lokalnych pożarów dopiero za inicjatywą prywatną założono „Ochotnicze Towarzystwo Ratunkowe" w r. 1845, a w r. 1877 powstała stała Straż Zawodowa.

Jeżeli się więc zważy ogrom klęsk, jakie przeżywał Poznań z przyczyny szalejących pożarów, nie dziw, że wielką popularnością i sympatją cieszył się zawsze sygnalizujący ogień trębacz ratuszowy. Wieża ratuszowa bowiem była najstarszą strażnicą przeciwpożarową dla miasta, zastąpioną dopiero w końcu XIX wieku przez specjalnie pobudowaną strażnicę dla drużyn zawodowych.

Gdy więc w jakiejkolwiek dzielnicy miasta ukazały się pierwsze iskry i pierwsze kłęby dymu, trębacz ratuszowy u-



Trąbki pożarnicze w Muzeum Miejskiem w Poznaniu

derzał na alarm trąbiąc i bijąc w dzwony ratuszowe. Dla lepszego zorjentowania spieszących ku pożarowi ratowniczych drużyn cechowych trębacz wywieszał na szczycie wieży ratuszowej latarnię wskazującą kierunek pożaru. W r. 1873 trębacz otrzymuje specjalny aparat ratowniczy. W początkach wieku XX powstałe już tymczasem poszczególne strażnice przeciwpożarowe sygnalizują się wzajemnie odgłosem trąby.

Wobec tak ważnej i wielostronnej czynności trębacza ratuszowego, dookoła jego osoby wytworzył się z czasem splot legend romantycznych, opartych o fakty dziejowe, lecz ukwieconych bogatą wyobraźnią ludu.

Więc gdy trębacz ratuszowy o późnej nocnej godzinie przechadza się samotnie po krużgankach wieży, gdy wicher wyje, a ratusz drży w posadach, wówczas w cieniu starych gzymsów, w czarnej wnęce muru, lub za załomem krużganka jawi się trębaczowi niesamowity cień małego, szarego człowieczka. Jest to niechybny znak, że miastu grozi nieszczęście i że obowiązkiem trębacza jest wypatrywać pilnie na wszystkie strony świata, czy nie jawi się gdzie widmo pożaru.

Czasy współczesne zaniedbały już naturalnie tradycję starych podań regjonalnych. Jawi się ona znowu tym, którzy zwiedzając sale Muzeum Miejskiego, zatrzymują się dłużej, przyglądając się starej tubie pożarniczej i dumając o groźnej choć romantycznej przeszłości.

Poznań. *Dr. Bożena Stelmachowska*

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 67 (357) Łamigłówka kolumnowa

Ułożyła ***

(Za rozwiązanie 10 punktów)

1		-		-	
2		-		-	
3		-		-	
4		-		-	
5		-		-	
6		-		-	
7		-		-	
8		-		-	
9		-		-	
10		-		-	
11		-		-	
12		-		-	
13		-		-	
14		-		-	
15		-		-	
16		-		-	
17		-		-	
18		-		-	
19		-		-	
20		-		-	
21		-		-	
22		-		-	
23		-		-	
24		-		-	
25		-		-	
26		-		-	
27		-		-	
28		-		-	
29		-		-	
30		-		-	
31		-		-	
32		-		-	
33		-		-	
34		-		-	
35		-		-	
36		-		-	
37		-		-	
38		-		-	
39		-		-	
40		-		-	
41		-		-	
42		-		-	
43		-		-	
44		-		-	

W daną figurę należy wpisać poziomo 44 pięcioliterowe wyrazy o podanem znaczeniu. Kolumny pionowe: druga i czwarta — dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Drewniana sztabka, wkładana pomiędzy kolumny druku; 2) Napomina, strofuje; 3) Dowód zaciągniętego długu; 4) Tor wyścigowy; 5) Czatuje (wspak), 6) Opłata, którą u Abadszów i Kabardyńców na Kaukazie wnosi rodzicom narzeczonej pan młody, po ślubie; 7) Połowa „zwolennika stanu obecnego"; 8) Lektor języka łużycko-serbskiego w Uniwersytecie Warszawskim; 9) Gwara, żargon; 10) Rodzaj ruchu (wspak); 11) Powiększać o drugie tyle; 12) Opad atmosferyczny; 13) Rzeka w Rosji; 14) Najpoczytniejszy tygodnik w Warszawie; 15) Tytuł powieści Edmunda de Amicisa; 16) Brama, wrota; 17) Prezes Rady Związków polskich we Francji; 18) Lampart, żyjący w Azji Środkowej; 19) Dziura, jama; 20) Gatunek futra; 21) Zjawisko świetlne; 22) Uczący się chłopiec; 23) Dowódca band chłopskich w Galicji 1846 roku; 24) Ogon koński, porośnięty rzadkiem włosiem; 25) Czarownica, wiedźma (wspak); 26) Część składowa młyna; 27) Skupienie; 28) Miasto w Polsce; 29) Najwyższy bóg indyjski; 30) Ryba towarzysząca rekinom; 31) Oprawa, trzonek; 32) Prędki, szybki; 33) Bramowanie; 34) Imię żeńskie; 35) Koniec w jęz. obcym (fonet.); 36) Gatunek farb wodnych; 37) Bystrość, przenikliwość (wspak); 38) Prezes naczelnej organizacji sportu hokejowego „Ligne International de Hockey sur Glace" (wspak); 39) Djasek; 40) Bicie w gwarze złodziejskiej; 41) Bezludna wyspa na oceanie Lodowatym u wybrzeża Murmańskiego; 42) Miasto we Włoszech; 43) Oparz, okrąż; 44) Imię męskie.

Rozwiązanie zadań

Nr. 56 (346) ARYTMOGRAF NA „ŚWIĘTO MORZA"

W naszych żaglach zwiniętych śpi wielka marszruta,
W naszych żaglach śpią skrzydła lotniejsze, niż ptak,
W naszych mapach śpi przestrzeń bezbrzeżnie rozsnuta,
Puls uderza w maszynach i gra poszum flag!
Prosto z zatoki Gdyńskiej na Bałtyk i z fali,
Pełnej złotych bursztynów, bijącej o Hel,
Na morza, na Atlantyk i dalej, i dalej,
Niech z masztów naszych czerwień łopoce i biel!

(K. Wierzyński: *„Pieśń żeglarzy"*)

Wyrazy pomocnicze: a) Przeciwtorpedowiec, b) Brygoleta, c) Półbąk, d) Fusta, e) Bosman, f) Jacht, g) Takielaż, h) Kułak.

Nr. 57 (347) ŁAMIGŁÓWKA KOLUMNOWA

1) Udycz, 2) Cekin, 3) Psica, 4) Czczy, 5) Octan, 6) Czary, 7) Tyłon, 8) Kwoka (wspak), 9) Spona, 10) Bazia, 11) Wdech, 12) Kanak, 13) Astma, 14) Ałtaj, 15) Forsa, 16) Gnało, 17) Skrom, 18) Polka, 19) Pleśń (wspak), 20) Owies, 21) Wirch, 22) Rekin. — „DESZCZYK PADA, SŁONKO ŚWIECI — CZAROWNICA MASŁO KLECI".

Nr. 58 (348) ZAGADKI

1. Oberek. 2. Papilot. 3. Niebo.

Trafne rozwiązania zadań Nr. 56—58 (łączna ilość 32 punkty) nadesłali:

N. K. Kozłowski, Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin), Fr. Wiśniewski, Zygmunt Słowikowski, Henryk Silczyński, Antoni Bucelski, Władysław Kostro, Dorota Herbstmanówna, Czesław Kozłowski, Romuald Żak, Kazimierz Lilpop, Z. Tietz, Marja Strubel, Feliks Kowalski, Józef Zbyszewski (Kraków), Ksawery Faliński, Helena Millerowa (Kraków), Jan Popławski, Zofja Suchecka (Radom), Wład. Stock (Pińsk), Józef Małecki, Baśka Żulińska (Częstochowa), Jan Rudziński (Kalisz), Henryk Walewski (Lwów), Ola Borman, Janina Rowińska, Karol Waldenberg, (Łódź), Stanisław Tański, Tadeusz Noskowski, Wiktor Sawicki, Jerzy Halski, Bolesław Nowak, Zofja Górska, Tadeusz Ritter, Henryk Ostrowski, Jan Kowalski, Gertruda Wolska.

NAGRODY OTRZYMALI:

Dorota Herbstmanówna (Warszawa) — książkę.

Henryk Ostrowski (Warszawa)—książkę.

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa